RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



MOŻE NIE JEST SMACZNE? — KTO ZAPRZECZY?

ROK VIII WARSZAWA CZERWIEC — 1934

APOSTOLSTWO PRASY I PRACA DLA MISYJ

Wydawanie i rozpowszechnianie dobrych książek i czasopism należy do zadań Stowarzyszenia Misyjnego Księży Pallotynów. Kto kupuje lub rozpowszechnia książki i pisma przez nas wydawane, współpracuje temsamem z nami w tak ważnem w naszych czasach apostolstwie prasy i wspiera równocześnie nasze dzieło misyjne, gdyż dochód z wydawnictw przeznaczamy na pokrycie kosztów nauki i utrzymania blisko trzystu studentów i kleryków, kształcących się w naszych zakładach na przyszłych kapłanów-misjonarzy.

Wydajemy obecnie następujące czasopisma:

KRÓLOWA APOSTOŁÓW, miesięcznik poświęcony szerzeniu idei powszechnego apostolatu pod znakiem Marji, Królowej Apostołów. Zawiera artykuły budujące i pouczające, wiadomości z misyj i ze świata katolickiego oraz wiadomości z pallotyńskich domów i placówek misyjnych.
Przedpłata roczna 2.40 zł.

MAŁY APOSTOŁ, miesięcznik przeznaczony dla młodzieży,
Przedpłata roczna 1.70 zł.

RODZINA POLSKA — Przedpłata roczna 7 zł.

PRZEGLĄD KATOLICKI, tygodnik dla duchowieństwa i inteligencji. Omawia sprawy religijne, kulturalne i społeczne w świetle zasad katolickich.
Przedpłata kwartalna 5 zł.

POSIEW, ilustrowane pismo tygodniowe dla ludu. Podaje ciekawe wiadomości z kraju i zagranicy, służy wskazówkami i radami gospodarczemi.
Przedpłata kwartalna 2 zł.

Rozpowszechniaj te pisma, zyskuj im prenumeratorów w kole twych przyjaciół i znajomych. Każdy nowy prenumerator — to nowy współpracownik w dziele apostolstwa prasy i w wielkiem dziele misyjnem.

Zamówienia prosimy kierować na adres:

STOWARZYSZENIE MIS. KSIĘŻY PALLOTYNÓW

WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 71.

CHŁOPCY DOBRZY I ZDOLNI

którzy, za zgodą rodziców, chcą zostać księżmi w Stowarzyszeniu Misyjnem Księży Pallotynów, mogą się zgłaszać pisemnie:

Kandydaci do klasy 1-szej z województw: pomorskiego, poznańskiego i łódzkiego do:

MAŁEGO SEMINARJUM KSIĘŻY PALLOTYNÓW,
Chełmno na Pomorzu.

Kandydaci do klasy 1-szej z innych województw i wszyscy kandydaci do wyższych klas gimnazjalnych do:

COLLEGIUM MARIANUM KSIĘŻY PALLOTYNÓW,
Wadowice, woj. krakowskie.

Kandydaci do klasy 1-szej powinni mieć:
a) nie mniej jak 12 i nie więcej jak 16 lat,
b) ukończonych 6 klas szkoły powszechnej VIIklasowej względnie 7 lat szkoły VI-klasowej.

NA WYWCZASY LETNIE

Filozofja cywilizacji, nap. Dr. Henryk Romanowski, str. 440, zł 15.

Książka powyższa jest miłą lekturą i drogowskazem dla wszystkich, co w chaosie współczesnych stosunków religijno-moralnych, oświatowych, ekonomicznych i politycznych szukają stałego, o wiarę i filozofję katolicką opartego poglądu na kulturę.

Wanda Malczewska, nap. ks. S. P. M., str. 300, cena 3 złote.

Źródłowo opracowany i przepięknym stylem napisany życiorys tej „najpromienniejszej postaci w porozbiorowych dziejach Polski".

Królowa Jadwiga na Wawelu, nap. Aleksander Borawski, str. 78, 31 ilustracyj, cena 1 zł.

Szkic historyczny, napisany przez byłego kustosza zbiorów na Wawelu. Ze względu na aktualność tematu budzi wielkie zainteresowanie.

Na gruzach zburzonych ołtarzy, nap. ks. Dr. Tomasz Mącior P. S. M. Stron 125, groszy 80.

Uwagi i spostrzeżenia o współczesnych prądach wolnomyślnych i wywrotowych.

Konnersreuth. Fakty i uwagi, nap. ks. Fahsel, str. 151, cena 1.70 zł.

Ciekawy opis zawsze aktualnej sprawy niezwykłych zjawisk u znanej stygmatyczki Teresy Neumann.

Podróż Misyjna do Afryki, nap. Ks. Alojzy Majewski, str. 172, cena 3 zł.

Barwny, pięknym stylem skreślony, opis podróży na misje wśród pogan w Afryce podzwrotnikowej. Każde słowo tchnie gorącem umiłowaniem wielkiej sprawy misyjnej. Zdrowy humor i liczne opisy zabawnych scen sprawiają, że każdy bierze tę książkę do rąk z prawdziwą przyjemnością.

Cztery lata wśród murzynów, nap. ks. Al. Majewski, liczne ilustracje. Str. 212. W oprawie 5 zł.

Autor opisuje nam swą pracę misyjną wśród murzynów w Kamerunie w ciągu czterech lat. Widzimy więc misjonarza w szkole i w kościele, w podróży poprzez lasy dziewicze i dżungle afrykańskie, przy nauczaniu i bliższem pożyciu z murzynami. Patrzymy zbliska na radości i smutki misjonarza, na czyhające na niego z różnych stron niebezpieczeństwa, oraz na plon jego ofiar i pracy.

Świat murzyński, nap. ks. Al. Majewski. Liczne ilustracje, str. 116, cena 3.70 zł.

Książka ta stanowi ważną pozycję w dorobku ludoznawczym. Wprowadza nas w bardzo ciekawe tajniki świata murzyńskiego centralnej Afryki. Napisana jest pięknym, swobodnym stylem i stanowi przemiłą lekturę.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

lub wprost w

WYDAWNICTWIE KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, ½ — zł 380, ¼ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank. 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14-664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VIII. WARSZAWA, CZERWIEC 1934.

Czy
nie jestem
wspaniały i inteligentny? —
mówi słoń morski — „Roland"
z ogrodu zoologicznego miasta Berlina
Co tu mówić o kryzysie, policzcie tylko moje podbródki



STULECIE PANA TADEUSZA

Cała kulturalna Polska święci stulecie arcydzieła, jakiem jest niewątpliwie „Pan Tadeusz". Wielki pisarz zaklął w nim i wyraził urok odchodzącej, ginącej epoki i urok ten trzyma pod swym poetycznym czarem trzy prawie pokolenia. Prawdziwy to triumf genjusza, który umiał nadać taki kształt artystyczny pewnej rzeczywistości, nietylko w jej wielkościach, ale i małostkach, że pozostała już nazawsze. Można tak czy inaczej ustosunkowywać się do pewnych stron przedstawionego w „Panu Tadeuszu" życia Polski w upadku, można i to i owo surowo osądzać i, jak to Słowacki zrobił, potępiać „wieprzowatość jej życia", czy poddawać je bezwzględnej rewizji, nie można jednak przejść obojętnie obok tej wizji artystycznej naszej narodowej przeszłości, do której pełni potrzebne są zarówno światła jak i cienie. Mickiewicz pokazał nam Polskę szlachecką, z całym jej splendorem a także i brakami. Ale właśnie dlatego jest ona prawdziwa i właśnie dlatego nam droga. Tacy byliśmy — nic więc dziwnego, że rzetelny artysta taki stworzył konterfekt.

A wreszcie ideał szlachecki, jaki się w Polsce wytworzył, wcale nie przynosi nam ujmy, a fakt, że w konstytucji 3 maja otworzyliśmy drzwi dla mieszczaństwa, do którego grona pierwszy zapisał się sam marszałek sejmu, Małachowski, pozostanie pięknym dowodem, iż ideał ten był żywotny, że podlegał ewolucji, umiał się do życia przystosowywać.

Poszła w niepamięć dawna zasada, że traciło się indygenat, imając handlu czy rzemiosła. Szlachcicowi jedno tylko bowiem przystało rzemiosło, wojaczka, no i w czasach pokoju gospodarka. Coprawda, co do tej ochoty wojennej w naszem społeczeństwie, to różnie o tem różni historycy mówią. Jedno jest jednak pewne, że pojęcie szlachcica wyrażało w sobie rycerskość, bitność, odwagę, gotowość służenia ojczyźnie zbrojnem ramieniem i położenia życia w potrzebie za nią i za wiarę. Szlachta, dobywająca szabel w czasie czytania Ewangelji, dawała piękny symbol służby Bogu i Ojczyźnie.

Sczasem ta gotowość wojenna, dzięki zresztą całemu systemowi społecznemu, nieco przywiędła, utonęła w gadulstwie, czego wyrazisty obraz daje Mickiewicz, odtwarzając sejmik dobrzyński. Dobrzy są ci zaściankowi Maćki i Bartki, ale byliby lepsi, gdyby mniej gadali. „Miast deliberować, lepiej radzić jak wroga bić". „Sejmikować o tem, trem brem, a potem siekać"... „kropić, kropić i kwita" — woła Kropiciel, reprezentujący zresztą także nienajlepszą cechę, bo nieokiełzany zapał, daleki od wojennej strategji.

Ta zapalczywość znajdowała łatwe ujście w obronie honoru szlacheckiego, i tu zresztą wyradzając się w zawadjactwo, od którego nie wolni byli nawet i najlepsi. Ponad tą gotowością do zwady górował jednak duch solidaryzmu stanowego, zrodzonego z rycerskiego braterstwa. To stanowiło podstawę dumy, równającej wszystkich, choć przecież i w obrębie stanu szlacheckiego były nierówności, mimo przysłowia, że „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie".

Na tle tych nierówności zdarzały się tragedje. Taką właśnie tragedję przedstawił Mickiewicz w historji Jacka Soplicy. Urażona miłość własna, wsparta jadami niespełnionego uczucia, prowadzi Jacka do zbrodni, lecz zdrowe pierwiastki szlacheckiego ideału nie dały się całkowicie zagłuszyć. Jacek odnajduje wyższe pojęcie honoru, opartego na poświęceniu i zadośćuczynieniu.

Historja Jacka to tragedja honoru, najcenniejszego skarbu, którego bronił szlachcic, choć nie brakło i sprzedawczyków, frymarczących tym klejnotem, jak Radziwiłł, Radziejowski, zdrajcy ojczyzny w najcięższych jej chwilach. Ale byli Zamoyscy, Żółkiewscy i Sobiescy, którzy przynoszą zaszczyt polskiemu imieniu i całemu stanowi szlacheckiemu.

Oczywiście pojęcie honoru miało też i swych karykaturalnych, śmiesznych przedstawicieli. Takim jest hrabia w „Panu Tadeuszu". Posłuchajmy tylko, jak woła sentymentalny hrabia: „Muszę zerwać wszelkie z Soplicą układy, choćby do pistoletów doszło lub do szpady".

Nie można więc powiedzieć, by zatem polska społeczność szlachecka nie miała swych zalet. Niestety, pewne cechy polskiej szlacheckości zwyrodniały. Bitność zamieniła się w zawadjactwo, troska o dobro publiczne w puste sejmikowanie, liberum veto w liberum obscuro, honor szlachecki coraz mniej miał za przedstawicieli Rejtanów, a coraz więcej Sicińskich i Ponińskich, co albo sami się wieszali, albo ich wieszano. Z pięknej treści szlachectwa coraz rzadziej wyrastał ks. Robak, coraz częściej toczył ją robak demagogji. Sprzedawono na usługi spraw wątpliwych, lecz zadawalających prywatę, nietylko szable, ale i sumienia. Aż wkońcu Targowica sprzedała ojczyznę. Ukoronowany szlachcic, jakim był Poniatowski Stanisław, łączył w swej osobie wszystkie wady i zalety staropolskiej szlachetczyzny. Miał dość rozumu, by próbować roli poważnego protektora nauki, sztuki, zamało jednak charakteru, by być ojcem ojczyzny. Być może i jemu godziłoby się wybić medal: Sapere auso, lepiejby jednak było, gdyby zasłużył na agere auso. Niestety, bowiem w działaniu był chwiejny.

Rycerski animusz, duch wojenny, świadomość, że połowa racji życia jest w szabli, powoli wygasły. Rozbrajaliśmy się dobrowolnie, za Kochanowskim uważając, że przypasanym do szabli, nie służy ona ku zdrowiu.

Zato kwitnąć poczęło hreczkosiejstwo. Taki np. sędzia z „Pana Tadeusza": „w szablę nie będąc zbyt tęgi, w politykę się bardzo nie wdawał, urzędując i orząc swojej ziemi kawał". Nie można mu zresztą odmawiać patrjotyzmu, nie można jednak przypisywać animuszu. Zato w gospodarce jest świetny. Wie, że „pańskie oko konia tuczy". Więc choć „sędzia strudzony, nie chybił gospodarskiej ważnej powinności, udał się ku studni. Najlepiej z wieczora gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora".

Do pełni charakterystyki szlachetczyzny brakłoby rzeczy zasadniczej, gdybyśmy nie wspomnieli o gościnności i religijności. Nie bez powodu wymieniamy je razem, boć stare przysłowie powiada: Gość w dom, Bóg w dom. To głęboko chrześcijańskie pojęcie świadczy o wysokiej humanizacji naszej szlachty. Piękny jej dowód ujawnia Mickiewicz, przedstawiając akty przebaczenia stolnika i klucznika wobec Jacka: „jeśli masz przyjąć Wiatyk, księże Jacku, toć ja nie luter, nie schizmatyk; kto umierającego smuci, wiem, że grzeszy". Oto do duszy, jak do domu, zstępuje gość największy,



Zbiera się na burzę, co wstrząśnie lasem

sam Bóg. Wobec tego muszą umilknąć wszystkie ludzkie względy.

W osobie księdza Jacka i dookoła niej skupił Mickiewicz zresztą wszystkie cienie i światła naszej szlachetczyzny. W Jacku widzimy wcielenie szlacheckiego heroizmu. Jest on typem nawskroś uczuciowym, a więc reprezentatywnym dla polskości.

Całe życie i postępowanie ks. Jacka reguluje zawsze jakiś przewodni motyw uczuciowy. W młodości — miłość do Ewy. Ona nim rządzi, ona w nim zapala te piekielne ognie nienawiści do ojca Ewy, który stoi na przeszkodzie małżeństwa.

Poeta daje wspaniały w swej plastyce obraz duchowych zmagań się młodego szlachetki, zapamiętałego w miłości.

Ewa „patrzyła nań błagając, lice jej bledniało, a w nim tak złość wrzała (przeciw ojcu dziewczyny), że obracał ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ściskał"; „zły i pijany milczał, jak owieczka, jakgdyby Sanctissimum ujrzał!" Trudno o bardziej dosadny wyraz miłosnej egzaltacji. Nic więc dziwnego, że opętany miłością, oszalały wprost, porywa się do zbrodni. Zabójstwo stolnika jest jakby zaspokojeniem zastępczem ślepej namiętności, która opanowała Jacka. Po jego spełnieniu następuje, jak to zwykle bywa, otrzeźwienie. Ginie motyw czysto osobisty, budzi się refleksja, odżywa zagłuszone sumienie. Powstaje potrzeba ekspiacji i szukanie jej w służbie kapłańskiej, służbie wynagradzającej za poprzednią zbrodnię. Jacek, to drugie wydanie Gustawa, Robak, to drugie wydanie Konrada. Czysto osobiste uczucie, przeżywszy swą tragiczną kulminację, uszlachetnia się i wciela w uczucie miłości bliźniego i ojczyzny. Oczywiście człowiek z temperamentem Jacka, będzie gorliwy aż do heroicznego wyrzeczenia się w swej służbie dla sprawy, jak namiętny aż do zbrodni był w miłości dla kobiety. W tem jest słabość, ale i wielkość Jacka. Nie każdy przecież zbrodniarz zdobywa się na pokutę i nie każda pokuta wydaje tak szlachetne owoce. Ekspjacja Jacka jest heroiczna, aż do pogardy śmierci włącznie.

Jacek jest pięknym przedstawicielem tej szlachetczyzny, która wypełniła siedem wieków naszych dziejów treścią bujną, ideałami pełnemi polotu politycznego sposobem życia godnym człowieka i chrześcijanina.

Poeta, który umiał to pokazać, jest genjuszem, zasługującym na cześć całego narodu.

PRZEWRÓT W AUSTRJI

Wiedeń w maju.

„Są czasy, kiedy bardziej niż kiedykolwiej staje się słuszną maksyma, że lepsze jest wrogiem dobrego. Są czasy, kiedy nie w szrankach parlamentarnej dyskusji osiąga się sukces, lecz zapomocą radykalnego, zdecydowanego czynu. Jeśli Hitlerowi udało się wraz z siedmiu towarzyszami opanowanie Niemiec, to podjęcie podobnej próby przez oficjalnych przedstawicieli chrześcijaństwa winno im się także wydać możliwe".

Tak pisało wiedeńskie „Schönere Zukunft" na jesieni 1933 roku.

Katolicy austrjaccy na wymownym zresztą przykładzie swych współwyznawców niemieckich nauczyli się jednego, że minął czas parlamentarnego kunktatorstwa i austrjackiego „gadania przez okno" i że władza należy do tego, kto umie dla jej zdobycia użyć powagi, a wreszcie, że dzisiejsze czasy wymagają nowych zasad ustrojowych. Kto z niemi wystąpi, ten dla swej władzy zdobędzie najtrwalszy fundament.

„Wydarzenia niemieckie — mówiło cytowane pismo — powinny być potraktowane ze strony katolickich polityków innych krajów jako przekonywująca nauka"...

Wszystko to było wyraźną uwerturą do dalszych politycznych wydarzeń, które się rozegrały w początkach bieżącego roku w Austrji.

Gdym wówczas o tych przeobrażeniach, tak znamiennych pisał, znalazł się ktoś z prowincji, który zaoponował twierdzeniu, że polityka katolicka porzuca dawny szlak i idzie dalej!

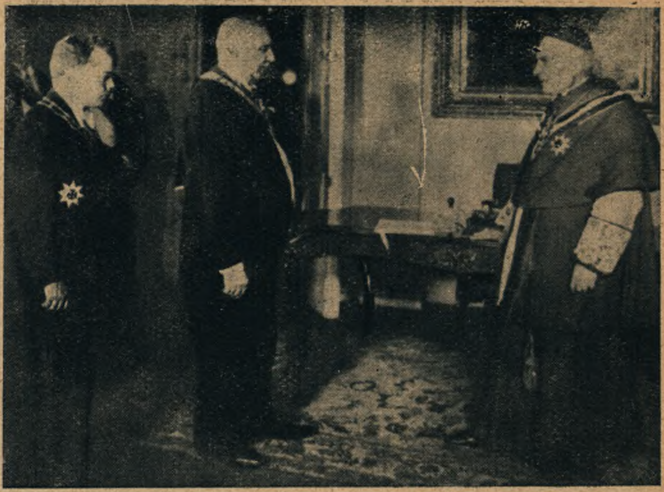
Dokąd? — Widzimy to w Austrji na zupełnie, jak dotąd, udałym eksperymencie. Nie należy mniemać, że rzecz wybuchła bardzo nagle. Długoletnia rywalizacja socjalistów i chrześcijańskich demokratów w Austrji, mająca jako etapy szereg rządów Seipla i szereg nań zamachów, do spalenia wiedeńskiego pałacu sprawiedliwości włącznie, znalazła swój częściowy finał przez zawieszenie w marcu roku 1933 parlamentu. W tym czasie kończyła się właśnie w Niemczech rola Centrum nazbyt związanego z demokracją i wschodziła gwiazda Hitlera.

Hitler stanowił zresztą i niebezpieczeństwo dla Austrji. Między socjalizmem a hitleryzmem znaleźli się chrześcijańscy demokraci z kanclerzem Dollfussem na czele i potrafili obu poradzić. Dollfuss, jak umiał zmobilizować siły zbrojne na północnej granicy i zaalarmować Europę sprawą niepodległości austrjackiej, tak umiał ogniem i żelazem rozprawić się w lutym bieżącego roku z socjalistami. Skazanie paruset rewoltantów na około 1000 lat więzienia w sumie, było uwieńczeniem politycznego dzieła, pełnego rzadkiej energji i odwagi cywilnej. Że rozprawa z socjalistami była konieczna, świadczy o tem przychylny głos „Osservatore Romano".

Zawieszenie parlamentu blisko od roku sprawiło, że rząd Dollfussa wydał 250 dekretów. Po rozwiązaniu frakcji socjalistycznej rząd mógł posłużyć się znów parlamentem; w ten sposób doszło do ogłoszenia konstytucji z dnia 30 kwietnia na 1 maja, jednocześnie przed północą został ratyfikowany konkordat ze Stolicą św. Przez ten krok autokratyczne metody Dollfussa, któremi ratował Austrję, znalazły rozwiązanie i jakby sankcję demokratyczną. Mówi się przytem, że w tym kierunku, w związku z konkordatem był wywierany pewien nacisk przez Stolicę św.

Słowem Austrja otrzymała nową konstytucję, będącą z uwagi na jej rodowód wyrazem doktryny katolickiej. Znamienny pod tym względem jest już sam wstęp dokumentu: „Konstytucja ta zostaje ogłoszona w imię Boga, jako mocodawcy i źródła wszelkich praw"...

Jeśli chodzi o jej typ, to, według dr. J. Messnera z „Schönere Zukunft" (Nr. 33 z dn. 13 maja r. b.), jest to



Podpisanie konkordatu austrjackiego

„mieszana konstytucja", to znaczy łączy w sobie zasadę monarchiczną przez właściwe uposażenie władzy rządzącej z zasadą demokratyczną, przez oddanie pewnej kontroli, inicjatywy i odpowiedzialności społeczeństwu, tak, by mogło ono wyłonić warstwę rządzącą, wyczuwającą i realizującą wysokie ideały państwowego życia społecznego. W tem tkwi jej trzecia zasada arystokratyczna.

Takie skonstruowanie konstytucji zbliża ją do koncepcji, głoszonej już przez św. Tomasza, a więc do pojęć, które w doktrynie katolickiej mają miejsce najpocześniejsze. Przechodząc do najważniejszych cech nowej konstytucji, należy podkreślić trzy kwestje: związkowy charakter państwa, korporacyjną strukturę społeczeństwa i silny autorytet rządu centralnego.

Odpowiada to praktycznie tym przesłankom teoretycznym, które tu za dr. Messnerem powtórzyliśmy, a więc przy silnej i scentralizowanej władzy, dopuszczenie opinji publicznej i tworzenie w społeczeństwie elity rządzącej, czego podbudową jest właśnie system korporacyjny.

Do innych znamiennych, choć obliczonych na dalszą przyszłość postanowień konstytucji austrjackiej, zaliczyć należy korporacjonizm. Konstytucja stworzyła 7 grup (korporacyj) zawodowych, które będą wybierać delegatów do ciał opinjodawczych i ustawodawczych. Jako korporacje wymienione zostały następujące grupy: 1) rolnictwo i leśnictwo; 2) przemysł i górnictwo; 3) rzemiosło; 4) handel i komunikcja; 5) finanse, kredyt i ubezpieczenia; 6) wolne zawody i 7) służba publiczna. Dalszy rozwój tych korporacyj pozostawia konstytucja przyszłym ustawom.

Owi delegaci to oczywiście nie byle kto! Mogą to być tylko „wierni obywatele", o czem decydować będzie rząd, ponieważ jemu przysługuje prawo zatwierdzania wyboru. Stąd złośliwa plotka termin „wierny obywatel" „Vaterlandstreu" zamieniła na „Dollfusstreu"!...

Do interesujących postanowień konstytucji austrjackiej należy ujęcie zagadnień religijno-wyznaniowych. Stało się to w sposób najskuteczniejszy i najprostszy w świecie przez przejęcie zasadniczych postanowień konkordatu i wprowadzenie in toto do konstytucji.

Nowa konstytucja zawiera ograniczenie, uznanej w zbyt liberalnym poprzednim akcie konstytucyjnym, wolności religji i sumienia w odniesieniu do młodocianych i spraw nauki szkolnej.

Oczywiście, gdy chodzi o młodzież rzymskokatolickiego wyznania, normy zaczerpnięte są z konkordatu.

Nowa konstytucja odrazu też oczyściła atmosferę pod względem religijnym. W ostatnich dniach słyszy się o powrocie na łono Kościoła około 50.000 robotników, którzy pod terorem socjalistycznym musieli maskować swe prze-

(Dokończenie na str. 170).



Mojżesz — Michała Anioła

MÓDLMY SIĘ SZCZERZE

Wszechświat Go wielbi, jak umie i może.
Modlitwy serca Bóg zawsze wysłucha.
Sam nas uczyłeś wszechpotężny Boże —
— Słowo jest martwe, wiara żywi ducha.

Modlitwy serca Bóg zawsze wysłucha.
Klękamy, Panie, przed Tobą w pokorze.
Słowo jest martwe, wiara żywi ducha.
Na niebie złote zajaśniały zorze,

Klękamy Panie, przed Tobą w pokorze:
Z serc naszych płynie żal, serdeczna skrucha;
Na niebie złote zajaśniały zorze —
— Módlmy się szczerze, a Bóg nas wysłucha.

Gracjan Pyrek jr.

NIEDZIELA

Niedziela, — taka sobie zwyczajna niedziela,
Może są blaski słońca, może deszczu strugi,
Jednak swą obecnością dusze rozwesela
Tym, dla których się tydzień wydaje zbyt długi.

Pokorni pracownicy — maluczcy oracze
Pól ziemskich, — wszystko jedno jaka tam jest gleba,
Niedziela to rozjaśnia ich ścieżki tułacze,
I tego „dnia siódmego" im najwięcej trzeba.

Na myśl o nim już lżejszą staje się robota,
I dzień ten życie szare na okresy dzieli;
Jednakże poprzez trudy i męki żywota,
Wszyscy do wiekuistej zdążamy Niedzieli.

M. v. W. Sendlerowa.

MICHAŁ RUSINEK O SOBIE I SWYCH KSIĄŻKACH

Laureat krakowski, Michał Rusinek, znany jest już naszym czytelnikom z krótkiej rozmowy oraz fragmentu „Człowieka z bramy", ogłoszonych w numerze 4 r. b.

Ta pierwsza znajomość niewątpliwie będzie zachętą do zbliżenia się z człowiekiem-pisarzem i jego twórczością. Toteż z prawdziwą radością dzielę się garścią wrażeń, spostrzeżeń i refleksyj, jakie zgromadziłem przy różnych okazjach w osobistem zetknięciu i rozmowach z p. Michałem Rusinkiem.

Z autorem „Błękitnej defilady", zbiorku wierszy, zapowiadającego talent świadomy, zwarty i oryginalny wypadło mi zetknąć się niejeden raz. Za każdym razem odsłaniał mi się z innej strony profil duchowy człowieka, składając się na coraz pełniejszy obraz. Treść jego jednak pozostała ta sama, zgodna z pierwszem wrażeniem: Rusinek to człowiek serca!... Na dnie całej jego istoty duchowej, a stąd i w głębi jego twórczości, leży uczucie. Jest ono motorem, który całego człowieka ożywia.

Tem sercem karmi się też cała twórczość młodego autora. Ono jest sprawdzianem jego pomysłów, ono ustala trasę życiową perypetji Piotrusia, bohatera nagrodzonej powieści „Burza nad brukiem". Ono — to serce, napozór nielogicznie a przecież zupełnie logicznie podyktowało Rusinkowi zakończenie „człowieka z bramy", kiedy to Piotruś a właściwie pan Piotr, zamożny handlowiec, słowem, pan całą gębą, wraca do swego rodzinnego Krakowa, a tu do bramy domu, w którym się wychował i oto nagle opada go sentymentalna fala wspomnień dziecińśtwa i młodości, wśród których centralną postacią jest matka. Ogromna jest sugestja tej wizji pisarskiej w której Rusinek opowiada nam, jak na tej ulicy, w tym domu, w tej bramie, na tych schodach odczuł żywą obecność matki, która przecież dawno umarła, wszystkie jej utrudzenia, uciemiężenia, uznojenia, całą pracę tak prostą i nieznaczną jak zamiatanie ulicy, czy dźwiganie wody, a przecież zdolną wypełnić ludzkie życie — życie matki — najukochańszej na świecie istoty. Ta żywa miłość bohatera do matki jest najlepszą legitymacją dla autora do zdobycia sobie sentymentu czytelników „Rodziny".

Że ten obraz wzięty jest z najbardziej wewnętrznej treści duszy autora, dowodzi tego krótka, ale jakże wymowna informacja, której mi w jednej z rozmów udzielił.

— Pisząc tę powieść, miałem odrazu przed oczyma pierwszy i ostatni rozdział, ową chwilę powrotu bohatera, która nadaje właściwy sens całej jego egzystencji.

— No i rzuca najbardziej zasadniczy rys jego charakteru — dopowiadam. A jednocześnie zastanawiam się nad tem, w jaki to sposób z pewnym stanem duchowym, jakimś dominującym sentymentem autora kojarzy się materjał anegdotyczny i nastawienie dzieła. Stwierdza to wyznanie, które rzuca sporo przenikliwego światła na proces twórczości Rusinka.

— Jedną z moich najpoważniejszych trosk jest unikanie wszelkiej łatwizny. Zdarzyło mi się przy pisaniu ostatniej powieści, że już na jakiejś setnej stronicy mój bohater osiągnął bajeczną karjerę zostając dyrektorem pewnego przedsiębiorstwa, dorabiając się tysięcy na giełdzie. Ale to wszystko uznałem za banalnie łatwe, choć możeby się i podobało. I odrazu z miejsca skończyłem z całą ową zawrotną karjerą — niszcząc rękopis. Poprostu uznałem, że wszystko to nie pasuje do wyimaginowanego typu i charakteru bohatera. Dawno już się rozstałem z metodą budowania możliwie najbardziej sensacyjnej fabuły, czego nie brak w moich trzech pierwszych tomach nowel i opowiadań. Po zagadnieniach czysto technicznych przychodzi kolej na to, co najważniejsze, pogłębiony rysunek psychologiczny. A w tem wszelki szematyzm byłby grzechem.

— Więc zniszczył pan sto stronic rękopisu? — zdumiewam się.

— Tak. Wsadziłem do pieca.

— Jest pan rozrzutny — rzucam żartobliwie — przecież taki fragment można było wyzyskać przy innej okazji.

— Pisarz musi mieć odwagę skreślenia z własnego rękopisu — otrzymuję prostą, mocną odpowiedź.

— Czy jednak nie zdołałby pan wykorzystać nawet swej pierwszej koncepcji dla celu powieści, przy właściwej sobie umiejętności stwarzania psychologicznego rysunku, przecież to nie jest niemożliwe. Weźmy takiego Körmendiego — brnę dalej w las prowokujących apostrof — w jego „Przygodzie" mamy tak samo bajeczną karjerę, a potem nagle otwierają się na jej tle niezwykłe perspektywy psychologiczne.

— Jeszcze jej dotąd nie czytałem — rozcina kwestję mój rozmówca.

— No właśnie. Co tu więc dużo mówić — śmiejemy się obaj. — Ot wpadłem w to właściwe krytykom stawianie wymagań pod adresem autora, żeby zrobił tak, napisał tamto i owo, wprowadził jakieś sytuacje, rozwiązania etc. Słowem, natręctwo! Nie dziwię się, że autorzy bywają z krytykami w wojnie. A pan czy jest zadowolony ze swych krytyków?

— Naogół tak! Uderzyli w bardzo zgodny ton pochwał. Niektórzy byli chłodniejsi, ale nawet taki Nowaczyński w swym artykule „Laureat na złej drodze", jak mówią spece od jego stylu — właściwie pod tym i owym względem mię chwalił.

— Będą krytycy mieli nową okazję, gdy wypuści pan następną książkę. Co to będzie?

— Nowa książka. Mam już do niej wiele zebranych notatek. Mam prowizoryczny tytuł: „Rewolucja na Dziamyłące".

— Rewolucja — powtarzam

— Widzi pan taka historja, dla której scenerją będzie plac opustoszały, zaśmiecony, porośnięty suchotniczą trawą — plac za miastem. Chcę ukazać dwa pokolenia robotnicze starsze i młodsze i chcę ujawnić głęboką różnicę psychiczną i moralną między niemi. Gdy w starszej generacji „karjerę" robi jednostka małowartościowa, prawie kanalja, z młodszych wysuwa się element wartościowy, ideowo wyrobiony, bezinteresowny.

— Wierzy pan w młodość?

— Pełen jestem radosnej wiary w pracę przyszłych młodych pokoleń.

I znów w tem krótkiem zdaniu objawił mi się cały Rusinek, człowiek serca.

Józef St. Czarnecki.



Ks. Marceli Godlewski

NA GRZYBOWIE

Któż w Warszawie nie zna księdza prałata Marcelego Godlewskiego, jednego z najbardziej zasłużonych u nas pionierów chrześcijańskiej demokracji. Bogate swe doświadczenie życiowe wykorzystuje on od lat już, jako proboszcz największej chyba, bo 100.000 dusz liczącej parafji Wszystkich Świętych na Grzybowie.

Bywa gdzieniegdzie zagranicą, że sto tysięcy wiernych tworzy oddzielne biskupstwo, a tu mamy jedną parafję.

— Co słychać na froncie pracy duszpasterskiej? — zadaję wreszcie pytanie, kiedy już udało mi się oderwać ks. proboszcza od oblegających go interesantów.

— Jak pan widzi. Kryzys w kraju to dla duszpasterza, który chce spełnić swój obowiązek, sposobność do pracy od rana do nocy. Kapłan bezrobocia nie zna. Tyle potrzeb moralnych, materjalnych czeka na swe zaspokojenie. A do tego jeszcze kryzys. Jak panu wiadomo, parafja Wszystkich Świętych obejmuje przeważnie dzielnice robotnicze. Jeszcze Marszałkowska (część), Chmielna, Złota jakotako wytrzymują, ale Wronia, Łucka, Twarda, Srebrna — wszystko to leży. Nędza idzie wgłąb i wszerz wielkiemi krokami.

Milczę, bo i cóż mogę wobec tego niezbitego faktu powiedzieć.

— To mało powiedzieć idzie... — zapala się ks. Godlewski. — Niedawno odbywałem wizytację mej parafji. Czego się nie napatrzyłem, czego się nie nasłuchałem!

Niebieskie oczy ks. proboszcza na chwilę gasną, jakby pod naciskiem jakiejś bolesnej wizji.

— Strychy i suteryny, wilgoć i zaduch, że ściany roznosi. Dziw wogóle, jak może mieszkać takie rojowisko ludzi w takiej ciasnocie. Wchodzę np. do izby tak wąskiej, że od ściany do ściany nawet rąk nie można rozpostrzeć, a długiej ledwie na długość 2 łóżek.

— Ileż tu mieszka osób? — pytam zaciekawiony.

— Powiedzmy „mieszka“ — oświadcza mój rozmówca z hamowaną przykrością — aż 9.

Tak, dziewięć osób, to znaczy dziewięć istnień ludzkich: ciał i dusz ma za punkt wyjścia swego życia taką oto klitkę. Człowiek staje wprost przerażony i bezradny. Zwłaszcza gdy podobnych sytuacyj jest setki, tysiące. Przy wielkich rozmiarach parafji ogarnąć tego niesposób, szczególnie, że wszystko to odruchowo garnie się do parafji po pomoc i opiekę.

— Jak trwoga to do Boga.

— Często tak bywa, niestety. Ale jest w tem logika Opatrzności. W czasie mej wizytacji napotykam nieraz na twarde głowy antyklerykalne. Zdarzyło się raz: pukam do drzwi jakiegoś stolarza. Otwiera mi on sam drzwi i powiada: Księdza, jako klienta, owszem wpuszczę, jako kapłana — nie.

— Wszyscyśmy klienci Pana Boga — odpowiadam.

— Ale ja nie uznaję pośredników — odpalił mi ów stolarz i zamyka drzwi przed nosem. Czekaj, myślę sobie, takaś nieheblowana deska, zdarzy się jeszcze... I rzeczywiście. Po jakimś czasie do istniejącej przy naszej parafji Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej zgłasza się ów stolarz o pożyczkę. Na jego podaniu piszę: „odmówić, bo to niekatolik“! Staje on wówczas przede mną i powiada, jakto, przecież jestem katolikiem.

— Może w komisarjacie, ale nie u mnie! Już pan zapomniał, jakeś zamknął drzwi przed swym proboszczem, a teraz to pan znalazł drogę do parafji i do „pośrednika Pana Boga“. Stolarzyna uderza w płacz, że dzieci głodne, że nędza, że chciałby wziąć większą robotę, ale brak mu kapitału. W rezultacie pożyczyliśmy mu trochę grosza. Cóż było robić?

— Ile? — rzucam ciekawie.

— 2000 zł.

— ?

— Pan się dziwi? Otóż muszę zaznaczyć — wyjaśnia ks. proboszcz — że nasza kasa, założona w roku 1928, ma do 500.000 zł obrotu, początkowo wydawała po 800, później po 1200, a obecnie 2000 zł. Od słów o solidarności przechodząc do czynów, stworzyliśmy instytucję samopomocową, która już niejednego poratowała. A zaczęło się bardzo skromnie od Ligi pomocy. Gdy ktoś w parafji podupadał rzucaliśmy hasło kupowania u niego.

— Istotnie, proste i skuteczne.

— I bodaj najrozumniejsze wykonanie hasła chrześcijańskiej „Caritas“. W mej pracy społecznej i duszpasterskiej zawsze wychodziłem z założenia, że nędzy trzeba zapobiegać. Na tej zasadzie stworzyliśmy np. Kasę Zapomogi na wypadek śmierci. Ze składek po 2—3 zł miesięcznie przy 1100 członkach utworzył się kapitał przeszło stutysięczny. W listach zastawnych jest 100 tysięcy, 11 tysięcy gotówką na premje wynoszące po 1100 zł. Takich premij możemy wypłacać do 24 rocznie, przeciętnie wydajemy ich 18—20. Umarł niedawno jeden biedaczyna. Żonie wypłaciliśmy, oczywiście, jak zwykle przeszło tysiąc zł. Co zrobicie z temi pieniędzmi? — pytam.

— Ksiądz proboszcz wybaczy — powiada mi kobiecina — ale będziemy musieli, choć z żalem, opuścić parafję.

— Może wybaczę. Tylko powiedzcie dlaczego?

— Ano, proszę łaski ks. proboszcza, to nam się szczęście uśmiecha i w Wiśniewie pod Warszawą możemy kupić jakiś sklepik — chlipie wzruszona. Cóż miałem robić. „Wybaczyłem“. Straciłem w ten sposób parafjankę, ale może jej się rzeczywiście szczęście uśmiechnęło...

Zacny proboszcz sam się uśmiecha pod wpływem tego wewnętrznego ciepła i przychylności do ludzi, która w nim jest.

— Słowem, wielkie dzieła.

PODOBIZNY JEZU



E. Burnand

Londyn, w maju

Ostatnio urządzona tutaj wystawa nowych podobizn Chrystusa, nasuwa kilka uwag na temat historji typu Jezusa w malarstwie.

Postać i oblicze Chrystusa stanowią jeden z najulubieńszych tematów twórczości artystów-plastyków: malarzy i rzeźbiarzy.

Obowiązujący Żydów zakaz religijny nie pozwolił na stworzenie żadnego współczesnego portretu Chrystusa, któryby mógłby służyć malarzom za prawzór. Istnieje — jednak — w cudowny sposób powstałe odbicie oblicza Chrystusa na „Chuście św. Weroniki" (Vera-ikon: — ciekawa jest etymologja imienia tej świętej). Lecz oblicze Boga-Człowieka zamglone jest cierpieniem, męką, zatarte krwią i potem, ociekającemi z pod kolców cierniowej korony.

Z późniejszych dokumentów, dotyczących wyglądu Chrystusa, wymieniają



W. E. B. Hardman

niektórzy portret „piśmienny" w postaci listu, opisującego podobiznę Chrystusa; list jest apokryfem, pochodzącym z XII w. (około 1120 r.). Miał być rzekomo napisany przez istniejącego w fantazji apokryfisty, Pobliusa Lentulusa, prokuratora rzymskiego w Judei, jakoby poprzednika Poncjusza Piłata.

List ten świadczy więc co najwyżej o wyobrażeniach XII wieku, dotyczących postaci Chrystusa.

Charakterystyczne szczegóły: twarz okolona blond włosami i przyozdobiona brodą, pojawiające się w wizerunkiem Chrystusa, począwszy od IV wieku, dominują w tym opisie. Istnieje jednak ciekawa mozaika z XII w. w katedrze w Monreale, na której Chrystus ma włosy ciemne. Ręce Chrystusa rozłożone są gestem hieratycznym.

We wspomnianym apokryficznym liście czytamy:

„W naszych czasach pojawił się i działa wśród nas człowiek szczególnie cnotliwy, którego uczniowie zwą Synem Bożym. Uzdrawia On chorych, wskrzesza umarłych. Oblicze jego postać jest taka, że którzy nań patrzą, muszą go kochać i cześć zarazem. Włosy ma blond gładkie, opadające swobodnie, przylegające aż do uszów, a od uszów do ramion spływają one w lokach, kędziorach. Przedział dzieli je pośrodku głowy, a każda połowa włosów rzucona jest na boki, zgodnie z modą, panującą w Nazarecie.

Czoło Jego jest skupione i pogodne, bez zmarszczek i fałdów. Gładką jego twarz upiększa lekki odcień wiśniowej barwy. Nos ma pięknie uformowany, brodę bujną takiejże barwy jak i włosy, dość jasną i przedzieloną pośrodku. W spojrzeniu jego maluje się mądrość i prawość. W oczach ma błękit, grający różnemi światłami i odcieniami.

Jest groźny, gdy głosi nauki. W rozmowie miły. Uwagi swoje czyni z ożywieniem, jakkolwiek nigdy nie traci spokoju. Nikt go nie widział śmiejącego się, często natomiast widziano go płaczącego. Jest kształtny, prosty, a Jego ramiona i ręce są tak piękne, że przyglądanie się im sprawia przyjemność. Akcentowanie w mowie jest poważne, mówi mało, jest skromny, a wreszcie jest tak piękny jak tylko może nim być człowiek.

Zwą Go Jezusem, synem Marji".

Ogólna tradycja, oraz wizerunek na chuście św. Weroniki zdają się stwierdzać ponad wszelką wątpliwość, że Jezus Chrystus miał oblicze i postać niezwykle piękną. Najwcześniejsze pomniki usiłują też wyobrazić Go pięknym prawdziwie.

Obok tego jednak powstaje legenda, głosząca że Odkupiciel zeszedłszy na padoł ziemski dla podjęcia ciężaru grzechów i win całej ludzkości przybrał właśnie na siebie postać jednego z najmizerniejszych i najbrzydszych ludzi. Mimo tej postaci promieniowała zeń piękność najwyższej potęgi duchowej, w świetle której czciciele Jego i wyznawcy oglądali go niezwykle pięknym i wzniosłym. (Podobne poglądy głosił Klemens Aleksandryjski).

Pierwsze pomniki ikonograficzne dalekie są od tradycją dziś ustalonego podobieństwa Chrystusa. Pod wpływem sztuki klasycznej, Jezus przedstawiony jest w malowidłach (freskach), jako piękny młodzieniec, w krótkiej tunice— prawdziwy efeb (typus romanus) bez zarostu, ciało wysmukłe. Pomniki te wyobrażają Chrystusa jako Dobrego Pasterza, niosącego na ramionach zbłąkaną owcę. Najwcześniejszym pomnikiem tego typu jest przed paru laty odkryty w katakumbach Priscilli fresk z II w., przedstawiający wskrzeszenie Łazarza. Chrystus ma twarz młodzieńca, bez zarostu, krótką tunikę, duże oczy. Obok niego stoi siostra Łazarza.



A. B. Cohen

Innym równie wczesnym dokumentem jest fresk katakumbowy przedstawiający Chrystusa i Samarytankę (w. III).

W epoce renesansu pojawi się znowu w dziejach największych twórców, jak Michał Anioł — Chrystus, podobny rzymskiemu młodzieńcowi czy greckiemu bóstwu (Sąd ostateczny, w którym niektórzy wykazują podobieństwo Chrystusa do Apolina).

Typ Chrystusa-młodzieńca przejdzie następnie do sztuki bizantyjskiej, gdzie jednak pełne życia jego kształty zastygną, zesztywnieją w hieratycznych pozach. Na tle złotej mozaiki pojawia się ascetyczna prawie postać o szeroko rozwartych, okrągłych oczach, w obwódkach z czarnej emalji, w bogatej, wspaniałej todze imperatora, barwnej i wrzorzystej. Nad głową wykwita złoty krąg nimbu. Ręce rozkrzyżowane hieratycznym gestem zdają się błogosławić całemu światu. Taki jest Chrystus Pantokratos.

SA CHRYSTUSA

Po okresie obrazoburców wygasa w Bizancjum jakgdyby wszelka inwencja artystyczna w kierunku tworzenia podobizny Chrystusa.

W średniowieczu dopiero zaczyna się ustalać artystyczny typ postaci Chrystusa.

Poprzez naiwne prymitywy, przez quadrocento przez surowość i oschłość gotyku kroczy Chrystus łanem sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej ku wspaniałej epoce odrodzenia, z jej wielkimi mistrzami jak Michał Anioł, Rafael Santi, Leonardo da Vinci, Guido Reni, P. Veronesse, którzy odtworzą nam w przebogatej swej inwencji najważniejsze momenty życia Chrystusa: Chrzest (Guido Reni). Dzieło nauczycielskie (Carlo Dolci), Gody w Kanie (P. Veronesse), czyny miłosierdzia: Uzdrowienie chorego (Rafael S.), wreszcie Ostatnia Wieczerza (Leonarda da Vinci), Droga krzyżowa (P. Veronesse), Chrystus w cierniowej koronie (Guido Reni).



J. Valerius

Męka krzyżowa znajduje zwłaszcza licznych glossatorów, szczególnie wśród malarzy północnych, spadkobierców wielkiej sztuki włoskiej, jak Rembrandt, Rubens, A. Van Dyk.

We wszystkich tych dziełach malarskich odnajdujemy już systematycznie cechy podobizny Chrystusowej, które będą powracać poprzez wieki falą inwencji artystycznej w tworach mistrzów różnych krajów. Włoscy, niemieccy, holenderscy i flamanccy mistrzowie, czy nasz polski Wit Stwosz dają nam już nieodmiennie subtelny prof l Chrystusa z czołem gładkiem i wyniosłem, owal twarzy, otoczony falą włosów płowych lub złotawych bujnych i w kędziorach, słodycz ust dobrotliwie uśmiechniętych i głębie niebieskich oczu.

Zdawałoby się, że trudno po tylu próbach pędzla i dłuta wyrazić coś nowego, a jednak choć każda z tych twarzy, jakie nam artyści tworzą, jest twarzą Chrystusa, choć wszystkie są do siebie podobne, to jednak różne... Powstają coraz to nowe arcydzieła plastyki, jak n. p. słynna rzeźba Ukrzyżowanego w Limpias.

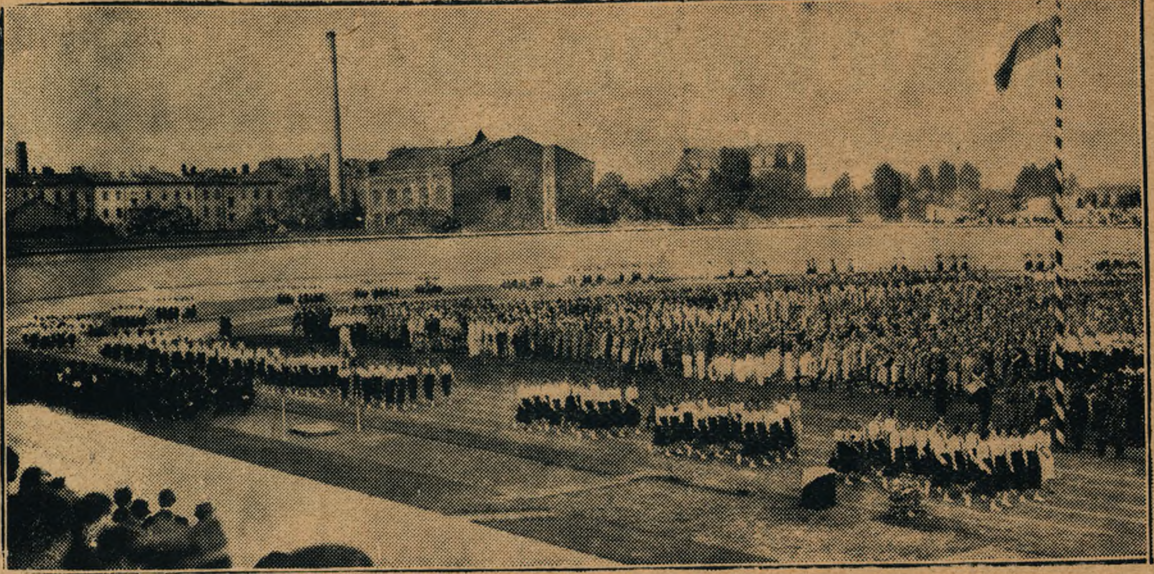
Obok odtwarzania Chrystusa w wieku dojrzałym, wielu twórców maluje Madonnę z Dzieciątkiem Jezus, jasnowłosem i niebieskookiem (Rafael, Murillo).

Tysiące obrazów i rzeźb Chrystusa, począwszy od słabiutkich prymitywów ludowych, choćby naszych podhalańskich „świątków", aż po dzieła najwyższego natchnienia artystycznego świadczą o głębokim kulcie, jaki ludzkość cała żywi dla Syna Bożego. Rozszerzył się on i uzyskał zupełnie nowe możliwości, że wspomimy tu o filmie. Kiedy C. de Mille przystępował do realizacji swego „Króla królów" polecił wystudjować około tysiąca koncepcyj malarskich różnych wieków i szkół, aby na tej podstawie ustalić typ, jaki ma wcielić aktor na filmie. W ten sposób powstała koncepcja postaci Chrystusa, będąca jakby syntezą dotychczasowych wyobrażeń w tej dziedzinie. Z tego samego założenia wynika wspomniana na wstępie wielka londyńska wystawa światowa podobizn Chrystusa. Wystawa odbyła się we Friedns House w Eustonroad. Paruset artystów przysłało na nią swe prace. W rezultacie wyróżniono prace: pani W. E. B. Hardman „Chrystus z apostołami św. Piotrem i Andrzejem, „Tajemnica", pani A. B. Cohen „Chrystus" — Valeriusa, „Chrystus śpiący", Eugenjusza Burnand (Szwajcarja) i „Zbawca świata" Harolda Cooping.



H. Copping





Ze zlotu Organizacji Wychowania Fizycznego w Warszawie

Dokończenie: **„Na Grzybowie"**.

— Małe, mój panie, małe — protestuje mój rozmówca. — Wobec ogromu parafji. Zresztą to są raczej uczynki względem ciała. Trudniej natomiast jest z zagadnieniem wpływu parafji na sferę duchową. To prawda, kościół olbrzymi, ale brak mi odpowiednich sal, po zamknięciu podziemi przez komisarjat, na pomieszczenie organizacyj parafjalnych. Mam pewne trudności w przerobieniu podziemi kościoła na ten cel. Już przygotowałem nawet plany. Tymczasem muszę tynkować kościół, co pochłonęło już 200 tysięcy, a będzie kosztować może pół miljona. Za te pieniądze możnaby wiele zrobić, gdyby... — ale co tu mówić?

— Mimo tych przeszkód praca, jak sam miałem możność stwierdzić, idzie — dorzucam. Bywałem tu nieraz z odczytami w Akcji Katolickiej.

— Owszem. Mamy wszystkie jej cztery rodzaje!. Mężczyzn jest do 80, kobiet przeszło 100. Jest młodzież męska. Dziewczęta pracują w jeszcze przed laty założonem kole im. H. Sienkiewicza. Ale daleko do potrzebnego rozmachu. Niech pan pomyśli — zapala się znowu. Miałem kiedyś w Lidze dzieci 4000, w Lidze matek 600. Dzisiaj jest inaczej — czyni wymowny gest. Mimo to jednak pracujemy. Każda matka dostaje po 50 zł, gdy zdarzą się dwojaczki aż 200 zł. Założyliśmy też opiekę dla starców. Fundusz jej wynosi już 10.000. Sczasem może zbudujemy dom emerytów. Pozatem wymienićby jeszcze należało konferencje św. Wincentego, sodalicje i liczne bractwa, które uzupełniają obraz życia parafjalnego. Wszystko to trudzi się chwalebnie na swych odcinkach, ożywiając naszą parafję. Ze względów technicznych musiałem poszukać dla mej akcji punktu oparcia w dzielnicy robotniczej parafji. Prowadzimy więc na ul. Srebrnej lokal, gdzie odbywają się odczyty, pokazy i pogawędki.

Następnie rozmówca przechodzi na temat pisma parafjalnego, które niegdyś lat kilka wydawał, dalej zagadnień Akcji Katolickiej i zagranicznych jej wzorów, które w swych podróżach ks. Godlewski badał. Z każdego słowa tchnie umiłowanie sprawy i gotowość ofiarnej pracy.

Dokończenie: **„Przewrót w Austrji"**.

konania. Ten stan rzeczy odbił się, jak wiemy, w znanem dziele Köplera, o czem w swoim czasie pisałem.

Bardzo istotne są w nowej konstytucji jej tezy o ustroju korporacyjnym. O ile mogą one i jak być zrealizowane, o tem może nas pouczyć bliższa analiza obecnej sytuacji gospodarczej Austrji, szczególnie na ważnym odcinku finansowym, gdzie ostatnio zaszły zmiany.

Proces upaństwowienia gospodarki austrjackiej rozwijał się i musiał się rozwijać od chwili załamania się Oesterreichische Creditanstalt, bank ten ratował przedtem, na prośby rządu, wiele zagrożonych placówek gospodarczych, przejmując je poprostu na własność, a przytem z własnej inicjatywy finansował Heimwehrę. W tej chwili mamy w Austrji kapitalizm państwowy, gospodarka prywatna przestała właściwie na serjo istnieć — wystarczy przejrzeć listę przedsiębiorstw, t. zw. koncernu Oesterreichische Creditanstalt i listę przedsiębiorstw Niederösterreichische Escomptegesellschaft. Pozatem po rewolucji lutowej państwo opanowało w spadku po socjalistach całą, szeroko rozbudowaną sieć spółdzielczą.

W ten sposób Dollfuss otrzymał istny dar Danaów, który może raczej zahamować, niż ułatwić wykonanie korporacyjnego systemu jakkolwiek w jego ramach jest także miejsce i dla finansów (coprawda z piątą lokatą...)

Jeśli specjalnie zwracamy na to uwagę, to dlatego, że Dollfuss ma coprawda w tej chwili wszystkie atuty do przeprowadzenia reformy ustroju, rozciąga kontrolę na przemysł i finanse, ale ta kontrola chwilowo jest raczej balastem i zawadą niż pomocą.

Reasumując ocenę wytworzonej w Austrji sytuacji musimy stwierdzić, że ruch chrześcijańsko-demokratyczny po okresie osłabienia i autokrytycyzmu (o czem w swoim czasie też informowaliśmy) po przetasowaniu sił kierowniczych, odrodził się i wszedł na wielką drogę realizacji swego programu. Dokonane fakty mają potężną wymowę, by można je kwestjonować, przeciwnie są raczej wzorem i przykładem przeprowadzenia dyktatury faszystowskiej. Co do przyszłości, to oczywiście nie jest ona tak bezsporaie zapewniona, istnieją wielkie trudności odziedziczone po poprzednim reżymie, zwłaszcza na terenie gospodarczym, ich przezwyciężenie będzie probierzem wartości przewrotu austrjackiego, o czem już niedługo świat będzie mógł się przekonać.

MIECZYSŁAW MAŁCZYŃSKI

Mało znany, a jednak płodny pisarz, autor licznych prac obszerniejszych, przygotowanych do druku, między innemi: „Słownika Pisarzy Polskich", „Bibljografji Historji Literatury i krytyki literackiej polskiej", „Słownika Malarzy Polskich", „Literatury nagrobkowej", oraz „Monografji ks. Piotra Skargi".

Dotychczas wydał Małczyński drukiem „Skrót Historji Literatury Polskiej" — od najdawniejszych czasów do teraźniejszej doby, który — po nader pochlebnem przyjęciu przez krytykę fachową — wkrótce doczekał się drugiego wydania i rozszedł się w szybkiem tempie w kilku tysiącach egzemplarzy.

Małczyński — jak prawie wszyscy pisarze — zaczął swój zawód literacki od pisania wierszy w zbyt młodym jeszcze wieku i z tych to pierwocin poetyckich zebrał, uporządkował i przygotował również do druku pokaźny plon parotomowy.

Dość wcześnie też zaczął pracować Małczyński i na niwie dziennikarskiej, pisując przeważnie krytyki literackie i recenzje teatralne, zamieszczane w rozmaitych dziennikach i czasopismach ilustrowanych. Od szeregu lat zaś pisuje stale „Sylwetki współczesnych polskich artystów malarzy", drukowane między innemi w „Przeglądzie Artystycznym", w „Rzeczach Ciekawych" i w „Rodzinie Polskiej", oddając się z wielkim zapałem umiłowanej w tym kierunku pracy i nie przestając ani na chwilę w dalszym ciągu gromadzić i uzupełniać materjał do wyżej wspomnianych dzieł obszerniejszych.

Małczyński dał się bardziej poznać jako mówca i prelegent niepospolity, występując z początku jako obrońca w sprawach karnych i politycznych jeszcze przed wojną światową w sądach rosyjskich na terenie b. Królestwa Polskiego, — a później — jako prelegent, wygłaszający całe cykle odczytów na tematy: „Dzieje Polski", „Współczesna literatura polska", „Piękno w życiu i sztuce" i inne, wielce urozmaicone, spotkawszy się na tem polu pracy z zupełnym aplauzem.

Urodzony w historycznej miejscowości Załuski-Opacz pod Raszynem, w pobliżu Warszawy, Małczyński — jeszcze jako paroletnie dziecię przeniesiony został wraz z rodzicami swoimi i licznem rodzeństwem do Warszawy, gdzie już pozostał na stałe, uważając gród syreni za swoje miasto rodzinne. Tu pobierał pierwsze nauki, tu kończył szkoły średnie, tu odbywał studja prawne, tu też po-



czątkowo pracował w sądownictwie rosyjskiem, a potem poświęcił się karjerze obrończej. Dopiero na początku roku 1911 wyjechał Małczyński do Krakowa, a następnie do Lwowa (ówczesnej Galicji, znajdującej się pod zaborem austrjackim), — i tam oddał się z wielkim zapałem studjom filozoficzno-literackim i rozpoczął na dobre działalność literacko-dziennikarską, pozostawszy wiernym do dnia dzisiejszego temu kierunkowi pracy.

Podczas wojny światowej dzielił los licznej cyganerji literacko-artystycznej na emigracji w Kijowie, gdzie wśród Polonji przetrwał tę wielką zawieruchę od roku 1915 do końca 1918, powróciwszy dopiero w tym czasie do Warszawy, gdzie już pozostaje znowu stale.

Przedtem jeszcze — w czasie zamieszkiwania we Lwowie, zaprzyjaźniwszy się z dziennikarzem i dyrektorem teatru Artystycznego Dantem Baranowskim, jeździł z nim, a następnie z trupą teatralną Gabrjeli Zapolskiej po całym terenie Małopolski, spisawszy wrażenia z tych wędrówek w formie pamiętników — z uwzględnieniem w lwiej części piękna przyrody tej malowniczej dzielnicy Polski.

Od roku 1925 zaś rozpoczął Małczyński na nowo wędrówki artystyczne po całym obszarze odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej wygłaszając pogadanki na temat „Piękno w życiu i sztuce" dla młodzieży szkolnej, na tle ruchomej wystawy obrazów zespołu Polskich Artystów Malarzy, odnosząc znów sukces za sukcesem i spotykając się wszędzie z pełnem uznaniem. Zwiedził więc Małczyński cały Górny Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze, oraz większe miasta b. Kongresówki i dużą część kresów wschodnich i północnych, przeważnie Wileńszczyznę całą, spisawszy i z tych wędrówek wrażenia swoje w formie pamiętników, których nagromadził kilkadziesiąt zeszytów dość dużych, przeznaczonych również do druku.

W pamiętnikach tych Małczyński nietylko spisał wrażenia z odbytych wędrówek artystycznych, ale i opisał wszystkie pamiątki historyczne i archeologiczne, znajdujące się w miastach takich, jak: Kraków, Lwów, Poznań, Grudziądz, Toruń, Lublin, Sandomierz, Płock, Kalisz, Kielce, Radom, Wilno, Grodno i t. p., podkreślając wszędzie piękno przyrody krajobrazu swojskiego, oraz wyróżniając regjonalizm danej miejscowości.

Tak więc — gdyby wydano drukiem wszystkie prace Małczyńskiego, złożyłby się z nich dość pokaźny poczet tomów niebylejakich, w treść bogatych i zajmujących, a nadto pożytecznych, zapełniających lukę w piśmiennictwie polskiem.

HUMOR

W OKULARACH.

Kumoter Hondras położył się spać z okularami na nosie. Żona gasi już światło, chce mu zdjąć okulary, a wtedy kumoter się budzi.

— Bój się Boga — powiada żona — cóż ty się kładziesz spać w okularach?

— Ale, ale zostaw je, nie bądź głupia. Widzisz — śniło mi się ubiegłej nocy, że mi się zjawiła Sybilla i pokazała mi numery na loterję klasową. Ale cóż z tego, kiedy ja z tym swoim krótkim wzrokiem nie mogłem ich dokładnie odczytać...

Myślę se, że trza spać w okularach...

WYWROTOWIEC.

— Panie, przecież pan trzyma tę gazetę do góry nogami...

— Tak jest, bo jestem opozycjonista i wywrotowiec, ta durny!

DOBRY SPOSÓB.

Do matki, która była zajęta przy prosiętach, przybiega siedmioletni Michałek:

— Mama, wiecie, do dzieżki z mlekiem, co stoi w komorze, wpadła mysza.

— O rety — załamuje ręce matka.

— Ale, nie martwcie się, jużem poradził na to.

— No i cóżeś zrobił?

— A wrzuciłem do dzieżki kota.

DON JOSE ST. NOARDO. 17)

ZDOBYWCA AFRYKI

I nagle znów zawirował mu w piersiach wielki kołowrót zwątpień, potępień, biadań, których żarłoczne gardła chłonęły chciwie jasne, świetliste pojęcia nakazów i obowiązków.

Więc ks. Kordjan wstępował wolno na kazalnicę, miotany wciąż jeszcze cichnącemi echami walki duchowej, które hamowały szybkość jego kroków, ale już skupiający się i wewnętrznie organizujący.

Po tej burzy wątpliwości miała wytrysnąć wspaniała tęcza natchnienia.

Stanął na ambonie i, już spokojny prawie, klęknął do krótkiej modlitwy, która była jednym hymnem cichym dziękczynienia Bogu za łaskę uświęcającą.

Wstał i zaczął mówić:

...Ranek rozsnuł promienie zorzy nad ponuremi murami Warszawy, gdy wkroczył w jego ulice... Chrystus.

Szedł i spoglądał po odrapanych domostwach, dziwiąc się ich niechlujności. Ich wygląd mówił, że panuje tu skąpstwo i chciwość, obojętne i nieczułe na potrzeby piękna.

Jakże ponure i pospolite dusze muszą być w piersiach tych ludzi. Z lękiem przykrości pomyślał o chwili, kiedy ludzie zbudzeni wyroją się na ulicę i trzeba będzie się z nimi zetknąć.

O człowieku, jakżeś daleko odbiegł od pierwowzoru stworzenia, jeśli Syna Bożego otacza lęk na myśl o spotkaniu się z tobą.

Wzrok jego spoczął na kamiennej figurze Zbawiciela, niosącego krzyż. I odczuł, że postać tę bardziej pochyla ku ziemi nieprawość i małość mieszkańców miasta, niż ciężar krzyża.

Nagle uderzył o uszy jego krzyk i wrzawa wesoła, swawolna. To gromada podpitych eleganckich furfantów wytoczyła się niesfornie z bramy pobliskiej restauracji i, wykreślając niepewnemi krokami kiepskie figury, rozlała się jak niekształtna plazma po trotuarze od murów aż do rynsztoka. Nad nią, jak opar z kotła, plątał się refren pijackiej piosenki: idź pan spać...

W kościele wytworzył się dziwny nastrój. Nigdy podobnych słów nie słyszano z ambony. Tłum pobożnych, w którym niejeden ze snobizmu więcej niż z nabożeństwa uczęszczał na mszę próżniacką, uczuł się zaniepokojony. To nie było w programie nabożeństwa niedzielnego, które wraz ze spacerem powrotnym powinno raczej być przyjemnem przygotowaniem do spożycia obiadu. Dzisiejsza niespodziana filipika tego zapalonego kaznodziei, gotowa im popsuć apetyt, myślał niejeden bardziej opasły słuchacz, któremu goryczą słów kapłana hamowała normalny przedobiedni ślinotok.

Tem niemniej ks. Kordjan osiągnął swój cel. Gapiowatą bierność obecnych przełamał jego niezwykły patos.

...I Chrystus wstrząsnął się z odrazy. Któż z tych, co noc całą pili, zdobędzie się na wysiłek, by pójść do kościoła na nabożeństwo? Towarzystwo poczęło dzielić się na parki, które z niedwuznacznym zapałem sadowiły się do pojazdów, śpiesząc się, by nowym występkiem dokończyć chwalebnego dzieła nocy.

Chrystus spojrzał ku posągowi, wydało mu się, że dźwigający krzyż jeszcze bardziej ugiął się pod strasznym ciężarem.

Wysłał więc jeden z jasnych promieni swego dobrotliwego wzroku, by podtrzymać uciśnionego.

A sam, smutny, podążył dalej.

Tak szedł Chrystus przez miasto, głodny dusz ludzkich, spragniony piękna w nich.

Nagle skądś, spod muru, doszedł go jęk cichy. Była w nim skarga i ból zranionego ciała i sponiewieranej duszy.

W pyle i błocie leżał człowiek. Krew sączyła się z jego skroni i głowy poranionej. Na oczach osiadły ciemne jej płaty, zaciemniając i oślepiając wzrok. Bezradnemi ruchami skatowany starał się uwolnić powieki od przykrego ciężaru, by spojrzeć w twarz niebu i Chrystusowi, który się nad nim litościwie nachylał, pytając: któż ci, bracie, taką krzywdę wyrządził? Dlaczego?

— Najemne zbiry szatańskiej mafji, której kamieniem zawady była moja społeczna działalność. A potem imię moje oplwano po gazetach...

Wziął Chrystus tę umęczoną głowę w swe ręce, przytulił do piersi, wargami dotknął ust wykrzywionych cierpieniem. I zapłakał łzami, które ongiś po raz pierwszy wyrzeźbiły Jego oblicze wśród męki Ogrójca.

I łzami obmył rany tego sprawiedliwego.

Ks. Kordjan zamilkł. A cisza wielka była w kościele. Nagle przerwał ją szloch jakiś, potem drugi. I łkanie szło falą przez tłum zasłuchany, ścierając z najbardziej sceptycznych ust uśmiech sarkazmu.

Była to chwila triumfu, nie jego, sługi niegodnego, ale Chrystusa Pana w duszach tych przyziemnych ludzi.

...I osłaniając ze zgrozy twarz połą szaty, wyszedł Jezus z miasta, okrytego sromotą tej zbrodni. A wstyd uszedł w Jego ślady.

Drugą bramą miasta wszedł zaś szatan zniszczenia i wojny bratniej...

Przed poddanym pod władzę kaznodziei tłumem wyrósł nagle obraz apokaliptycznej grozy. Zadrżały serca bardziej wrażliwe.

...Pytam się was! — zabrzmiał znowu potężnie głos ks. Kordjana.

Czy wielu jest takich, którzy odrzucą tego zwiastuna klęski? O miasto wszeteczne i podłe, które witasz z otwartemi rękami szatana i wysłanników jego i głuche pozostajesz na ciche kroki idącego po twych ulicach w godzinę przedświtu Boga!

Zali nie ockniesz się na progu twej zatraty, by spojrzeć w głąb otwartych przez księcia piekieł przepaści?

Zali nie położysz ręki na sługach wszeteczeństwa, którzy w dusznych jego oparach chcą uśpić twą czujność, by prędzej przywieść do zguby.

Godzina pokuty nadeszła.

Jeśli nie wykorzystacie jej, stanie się ona godziną zatraty.

Patrzcie — z tragicznym gestem wychylił się — wy sybaryci, występne strojnisie, sprzedajni urzędnicy, płatni skrytobójcy, skrawione ręce kryjący w wytwornych rękawiczkach!...

I powiało przerażenie po zebranych, poczęto oglądać się po sobie z lękiem, patrzeć na ręce. Wielu poczuło się w sumieniach swoich winnymi. Groza święta szła wśród ludzi, otwierając jednem dotknięciem skoru-

pę zatwardziałości i zapamiętania w grzechu i wyzwalając uciśnione w niej dusze.

I jak przy dobywaniu elektryczności wionęło ozonem górnych sfer.

Ks. Kordjan padł nagle na kolana: Módlmy się! Chryste, zetrzyj z dusz naszych hańbę wszystkich zbrodni, którym ulegliśmy i które popełniamy. Racz nawiedzić łaską swą wspomagającą dusze nasze w upadku. Natchnij nas nieodpartem pragnieniem uświęcenia się przez sakrament pokuty. Przyjmij nas upokorzonych u stopni twych ołtarzy i podnieś nas do godności Twego Boskiego Serca w sakramencie Komunji.

Ołtarze Twoje ozdobimy kwiatami zgody, bratniej miłości, ofiarnej pracy.

Ufamy, że przebaczysz nam małość naszą i raczysz nas dopuścić do szczęścia obcowania z Tobą w czynach szlachetnych budowania ojczyzny doczesnej; abyśmy zasłużyli na ojczyznę wieczną. Amen...

XX.

Marysia siedziała wtulona w kąt otomany; cała jej postać wyrażała jakby lęk i oczekiwanie czegoś przykrego.

Słowa, które zmuszona była wysłuchać od hrabiego, nie mogły być uznane, ściśle biorąc, za przyczynę przykrości. Z pewnem zdziwieniem stwierdziła, że oczekiwała ich, wiedziała, że zwiastują jej nowe życie, a jednak odczucie tej nowej rzeczywistości miało jakiś bolesny posmak. Uczeni twierdzą, że w zasadzie niema różnicy między bólem i rozkoszą, że każda rozkosz poczyna się bólem. Poeci mówią o słodyczy bólu. Uczucia, cierpienia i radości znajdowały się u Marysi na granicy rozkoszy i bólu.

Gdy pomyślała, że oto jej pragnienie poprawy losu może się — na skutek jej najcichszego choćby „tak“ — zamienić w rzeczywistość, iż u stóp jej skłania się, prosząc o miłość, człowiek bogaty, inteligentny, na wybitnem stanowisku — zdawało jej się, że radość, zdumienie czy oszołomienie rozsadzi jej piersi — rzeczywistość była tak nieoczekiwana i niezwykła, tak niezwykle wprost piękna. Lecz była to rzeczywistość przyszłości, tego, co miało się stać. Mogło, czy — powinno się stać? Jak rozstrzygnąć?...

I przeciw tej przyszłej rzeczywistości wstawała teraźniejszość pożycia jej z mężem i jego prawo do niej. Tu nie o to chodzi. I ona miała prawo do niego, do całej przeszłości, którą stworzyli we wspólnem pożyciu. Były w niem chwile jasne, pełne żywiołowej radości. Szczęście było w pierwszych uniesieniach ich miłości, choć potem przyszedł gorzki chleb szarego małżeńskiego gospodarstwa, na którym radość życia zamierała, jak kwiat.

Na wspomnienie Stefka fala bólu — niechęci i żalu zalewała krwią jej serce, przyśpieszając jego rytm.

Nienawidzi go. Za co? Czyż Stef nie jest też młody i piękny. Hrabia jest może piękniejszy, w jego piękności jest jednak coś obcego.

Stef, jej mąż, jest teraz też sławny, jest mądry — jego głęboki umysł zawsze jej imponował.

A różnica? — Hrabia jest bogaty — jak Krezus. To ważne, ona przecież pragnie bogactwa, nie dla podłego złota, tylko dla tego, co daje ono jego posiadaczom.

Więc...

Gniew nagły chwycił ją na siebie, na Stefa, na hrabiego, na to głupie życie, które nie zna miary w udrękach lub w szczodrobliwości dla swych pupilów.

XXI.

Nazajutrz prasa warszawska huczała od rozgłośnego alarmu.

„Niebywała mistyfikacja w Radjo polskiem“. „Niebezpieczna transformacja prelegenta“. „Radjo polskie narzędziem paszkwilatorów“. „Co robi dyrekcja Radja?“. „Dać dymisję kierownikom Radja“. „Bohater skandalicznej afery radjo odczytowej“.

Stefan z głową owiązaną po wczorajszem rozbiciu, cały obolały, przerzucał z gniewnym pośpiechem kolumny cuchnących farbą drukarską dzienników.

Opis całej przygody, w której prasa narodowa wyznaczała mu łaskawie miejsce bohaterskiej ofiary, bynajmniej go nie pocieszał. Dzienniki zależnie od koncernu Bankowego Goldsteina rozmazały bowiem niecny paszkwil, dodając tysiące nowych, a zmyślonych szczegółów. Zwracał zwłaszcza uwagę napastliwy artykuł Pęcherza: „Publiczne pieniądze toną w kasach oszusta. Sowita nagroda za społecznikowstwo“. Wszystko to podane było w formie streszczenia odczytu. Nie miał więc prawie możności reagowania.

Wytoczyć proces Pęcherzowi, wobec jego poselskiej nietykalności, droga daleka i prawie beznadziejna.

Co robić?

Niewesołe jego rozmyślania przerwał nagle dzwonek telefonu. Pod wpływem wspomnień dnia wczorajszego Stefan żachnął się niechętnie.

— Hallo! Proszę.

— Tu Ligęza, czy pan dr. przy aparacie?

— Tak!

— Moje uszanowanie, kochany doktorze, proszę przyjąć wyrazy współczucia. Czy mógłbym być użytecznym panu?

— Dziękuję za pamięć. Doprawdy nie wiem, w jaki sposób mógłbym skorzystać z tej przyjacielskiej propozycji.

— Doktorze. Pęcherza trzeba wyzwać na pojedynek.

— Nigdy. Ja pojedynków nie uznaję. Zresztą on tylko narzędziem innych łotrów!

— Ale świat uznaje. A to potrzebne dla świata. Doktorowi wystarcza wspaniałomyślne przebaczenie, doktór jesteś idealista. Świat jednak nie zna się na takim babskim sentymentalizmie. Trza dać nauczkę — dla przykładu.

— Jestem chrześcijaninem i będę postępował w zgodzie z mem sumieniem.

— Aby pogrzebać się bezpowrotnie w opinji świata, który wcale nie jest chrześcijański. Wybij sobie doktór z głowy te głupstwa. Tu trzeba pięścią w łeb. Przeciwnicy doktora nie robili sobie z nim ceremonji.

— Stosując podobne metody zejdę do poziomu nędzników, którzy ze mną walczą.

— Na innym poziomie wogóle nie uda się doktorowi unieszkodliwić tych łobuzów. Doktór będziesz w niebo wkręcał wiatrak swego idealizmu, a tymczasem krety podkopią fundament całej jego egzystencji. I wezmą wszystko djabli, nie wyłączając idealistycznych, prometejskich aspiracyj.

— Wolę nie istnieć wcale, niż istnieć w podłości.

— Ta, ta, to się tak mówi. A cóż się stanie z doktora dziełem? Dla jednego niegodziwego bałwana ma sobie doktór niszczyć życie? Absurd. Grzech przeciw społeczeństwu. Trzeba wreszcie przekłuć ten pęcherz cynizmu i szantażu. Trzeba nauczyć moresu tego szubrawca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA FALACH CZASU

Dopiero teraz można ocenić w pełni trudności i przeszkody, jakie musiała przezwyciężyć młodzież katolicka z ,,Accion Popular", by doprowadzić do skutku swój wyznaczony na dzień 22-gi kwietnia zlot w Eskorialu. Polegały one głównie na akcji terorystycznej żywiołów skrajnie lewicowych, które w szeregu miast, jak Bilbao, Toledo i Orense, wywołały strajk autobusów, tramwajów, taksówek, kolejek podziemnych i innych środków komunikacji, byle tylko nie dopuścić do odjazdu uczestników kongresu. W innych miejscowościach urządzono napady na autobusy i pociągi, wiozące delegatów, w Madrycie komuniści usiłowali nawet rzucać bomby, przyczem jednemu z nich bomba urwała nogę. W samem centrum stolicy, przy Puerta del Sol doszło wieczorem do wymiany strzałów między policją a eskstremistami. Mimo tych przeciwieństw kongres doszedł do skutku i nigdy chyba czterysta lat liczący Eskorial nie widział tak potężnej i tak żywiołowej manifestacji. Liczne, wzorowo wyszkolone bataljony młodzieży ze sztandarami, gromkim okrzykiem radości powitały popularnego przywódcę ,,Accion Popular" Gil Roblesa, poczem w głębokiem skupieniu wysłuchały polowej Mszy św. Po nabożeństwie odbyło się składanie przysięgi. Rozstawione wzdłuż fasady klasztornej megafony ułatwiły zapoznanie olbrzymiej rzeszy uczestników zlotu ze statutami ,,Accion Popular". Pierwszy z dziewiętnastu odczytanych punktów brzmiał: ,,Myśl jak Hiszpan, pracuj dla Hiszpanji i bądź gotów umrzeć dla Hiszpanji", a ostatni zapewniał: ,,Hiszpanja ponad wszystkiem, a ponad Hiszpanją Bóg". Już te dwa punkty statutu mówią dostatecznie o żarliwym patrjotyźmie katolickiego ruchu młodzieży.



Nowy premjer prof. Kozłowski



Min. opieki społecznej Paciorkowski

Wygłoszona wspólnie przez dziesiątki tysięcy ust rota przysięgi wywarła na obecnych niezapomniane wrażenie. Mimo niepogody i polatującego od czasu do czasu śniegu, imponująca ta uroczystość odbyła się na wolnem powietrzu. Nie ośmielono się też zakłócić jej przebiegu jakiemś wrogiem wystąpieniem. Nazajutrz cała prasa hiszpańska wyraziła zgodnie opinję, że organizacja młodzieży w łonie ,,Accion Popular" stała się czynnikiem, z którym w przyszłości trzeba się będzie poważnie liczyć.

Zjazd partji radykalnej w Clermont-Ferrand zwraca uwagę na ten wybitny od szeregu lat czynnik wewnętrznej polityki francuskiej. Radykali francuscy niewątpliwie są dziedzicami jakobinizmu, a więc najbardziej typowego bodaj kierunku z okresu wielkiej rewolucji francuskiej. Z ich szeregów wyszło cały szereg wybitnych polityków, partja zaznaczyła się też przodującym udziałem w rewolucji r. 1848 i obaleniu cesarstwa Napoleona III. Partja zresztą w ostatnich swych deklaracjach świadomie nawiązuje do tradycyj rewolucyjnych i wyraźnie deklaruje się za zdaniem Gambetty, że ,,nie ma przeciwników na lewicy" i zdaniem Jauresa ,,że niema republiki bez wspó udziału robotników". Ten niemniej w ostatnich czasach widać pewien zwrot, świadczący, że programowy radykalizm nie otępił zupełnie umysłów przywódców partji. Znalazła się więc przeciw całej socjalistycznej lewicy w obozie rządowym. Jest to dzieło i zasługa Herriota. Oczywista rzecz, że ta jego polityka spotkać się musiała z żywą krytyką towarzyszy partyjnych. Toteż na zjeździe w Clermont-Ferrand Herriot musiał rozegrać całą batalję. I nietylko rozegrał ją, ale i wygrał. Zdrowy realizm Herriota odniósł zwycięstwo nad krzykaczami, przypieczętowane przesz o 1000 głosów za współpracą z rządem przeciw kilkunastu sprzeciwom. Czem przekonał Herriot zjazd? Partja radykalna — mówi Herriot — nie jest jedynie i wyłącznie stronnictwem lewicowem i rewolucyjnem. Z pomiędzy nas wyszli również ludzie, którzy w chwilach decydujących stawiali ponad sojusze i sympatje partyjne interes całego narodu, interes Francji. Gambetta był nietylko trybunem ludu — ale i obrońcą Paryża w 1871 r. Z naszych szeregów wyszedł Clemenceau, twórca zwycięstwa. Ideały postępu i hasła re-



Min. handlu Rajchman

form? Nikt się im nie przeciwstawia. Sojusz z lewicą socjalistyczną? Proponowaliśmy go za każdym razem, ilekroć dochodziliśmy do rządów. W styczniu 1933 r. Deladier poszedł tak daleko, że proponował partji socjalistycznej pięć tek w swoim gabinecie. Blum odrzucił współpracę w rządzie. Co więcej, odrzucił współpracę w parlamencie. W przeciągu 18 miesięcy zwalili socjaliści cztery gabinety radykalne. Dyskredytowano parlament. Dyskredytowano republikę. Czy wobec tych doświadczeń możemy narażać kraj na nowy wstrząs, czy mamy obalać rząd, który będąc gabinetem demokratycznym, kierowany jest przez człowieka, któregośmy sami wynieśli do godności prezydenta Republiki? Sytuacja polityczna Francji jest dzisiaj o wiele poważniejsza, aniżeli przed kongresem w Angers. Czy mamy poświęcać przyszłość kraju dla naszych zawiedzionych ambicyj?"

Po takiem zaargumentowaniu, dzięki wynikowi głosowania na zjeździe zostało zażegnane przesilenie rządowe, które obaliłoby rząd Doumergua, zagrożonego losem rządu Poincarego, obalonego w r. 1928 przez kongres w Angers. Jak widać Francja umie się czegoś nauczyć od historji, umie pohamować radykalne zapędy pewnych sfer i pójść za głosem zdrowego rozsądku. W Clermont-Ferrand przegrali po raz drugi ci politycy, którzy przegrali poraz pierwszy na ulicach Paryża w czasie lutowej rewolucji, Deladier, Frot, Cot, Chautemps. Oczywiście krytykowali oni swych kolegów z Zjednoczenia Narodowego i dążyli do wywołania nowego kryzysu, któryby pozwolił na rewanż. Zwolennicy lewicowej opozycji liczą na poparcie tak zwanych „młodoturków", to jest obozu, grupującego się koło dzienników „La Republique" i „Notre Temps". Są to po większej części członkowie lóż masońskich, głównie Wielkiego Wschodu. Argumenty, któremi operują w celu pozyskania większości stronnictwa — polegają na tem, co Tardieu określił nazwą „mistyki lewicowej".

Dobrze się stało, że Herriot osadził na miejscu tych masońskich mistyków, twórców haniebnej stawiskjady. Francja będzie mogła odetchnąć realniejszą, zdrowszą atmosferą.

Zbyt dużo się pisało o upadku genewskiej instycji, by do tego tematu wracać z większem zainteresowaniem. Sprawa jednak ma swe znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że dziś jest atmosfera niesprzyjająca istnieniu i działaniu instytucyj tego pokroju, co Liga. Narody świata dążą do najdalej posuniętej autarkji, odgradzają się od wszelkich obcych wpływów „międzynarodowych", idących choćby pod pretekstem „uszczęśliwiania" kogoś. Każdy chce rządzić u siebie po swojemu, nie bardzo się oglądając i nie bardzo wierząc w wartość idei solidarności międzynarodowej i gwarancji prawa, opartej na traktatach. Ten pęd do samodzielności wyraźnie uwydatnił się na losie instytucji genewskiej. Okazało się to w szeregu wypadków ostatnich lat przez 1) jej bezsilność i nieudolność w konflikcie japońsko-chińskim, 2) wystąpienie Japonji, 3) wystąpienie Niemiec, 4) dalsza absencja Stanów Zjednoczonych, których zbliżenie w okresie debat nad Mandżurją okazało się efemerycznem.

Liga w ten sposób zamieniła się w prywatne porozumienie państw europejskich, straciła swój charakter ogólnoświatowy.



Prezydent Francji składa kwiaty na grobie zamordowanego swego poprzednika

W tych warunkach odzyskanie prestiżu mogłoby nastąpić bynajmniej nie przez podkreślenie jej czysto europejskiego kameralnego zespołu. Proponowane więc wejście Sowietów nie dałoby pożądanego rozwiązania.

Ratunkiem dla Ligi w dzisiejszej sytuacji byłoby — niestety zupełnie w tej chwili nieaktualne — wstąpienie Stanów Zjednoczonych, ale nie Sowietów. Obecność Sowietów w Genewie może przyśpieszyć „odrewolucjonizowanie" Z. S. S. R., natomiast nie zdoła Ligi natchnąć nowem życiem i znacznie zwiększyć jej promieniowania. Raczej nieunikniony proces wyrównywania różnic pomiędzy Sowietami a resztą uczestników Ligi będzie sprawiać wrażenie pewnego osłabienia tej instytucji.

Inna rzecz, że wciągnienie Sowietów rozwieje mit rewolucji światowej i osłabi realną jej propagandę, a przez to przystosuje Sowiety do reszty świata.

Utrudni Sowietom operowanie straszakiem interwencji, zmniejszy ich abstrakcyjność w oczach komunistów zagranicznych. Co to za heroldzi obalenia porządku wszechświatowego, którzy trzy razy potrafią zasiadać pokojowo przy jednym stole ze wszystkimi reprezentantami świata kapitalistycznego, którzy są członkami organizacji tak długo w Moskwie okrzyczanej, jako organizacji superimperjalizmu rekinów kapitalistycznych! Wstąpienie Sowietów do Ligi z pewnością ułatwi ich współżycie z resztą Europy — co stanowi niewątpliwie zysk dla obu stron.

Odrębną kwestję stanowi przyznanie Polsce stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów.

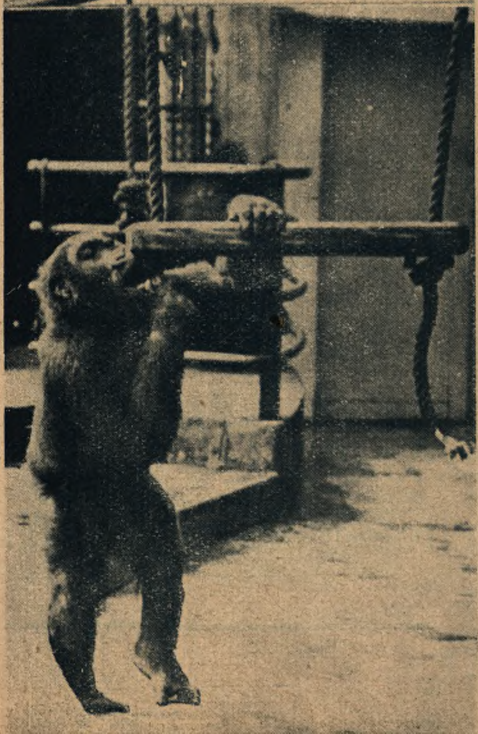
Już w r. 1926, gdy kandydatura polska była aktualna, tylko opór niemiecki spowodował, że zamiast stałego miejsca otrzymaliśmy paljament — t. j. miejsce półstałe. W praktyce miejsce półstałe jest już stałem, skoro od 1926 r., t. j. od lat 8 Polska bez przerwy w Radzie Ligi zasiadała. Nie można sobie zresztą dzisiaj tej Rady bez udziału Polski wyobrazić.

Nie ulega chyba dla nikogo wątpliwości, że w razie odmówienia Polsce miejsca w Lidze Narodów, bez chwili wahania ustąpimy z Ligi. Mamy o tyle interes w należeniu do niej, o ile zostanie należycie uszanowana nasza rola i stanowisko wśród mocarstw. Liga nie spełniłaby swego zadania, gdyby tego nie dostrzegła i nie ustosunkowała się należycie do Polski. Jak stąd widzimy Liga musi odrobić powoli na najbliższym terenie swe błędy i przeoczenia, by sczasem móc wrócić a raczej przystąpić do wykonywania ogólnoświatowej roli.

JAK ZWIERZĘTA ŻYJĄ, CZUJĄ,







W otoku naszego kącika zwierząt dajemy sześć zdjęć z życia goryla w ogrodzie zoologicznym Londynu. Jest to wspaniały goryl afrykański Moina wraz ze swą małżonką Bok. Widzimy jak zwierzęta badają bardzo dokładnie zębami i pazurami, od „piwnic do strychu”, urządzenie swej zimowej klatki.

* * *

Pośrodku widzimy trzy zdjęcia filmowe, dokonane przy brzegu Jawy na Indyjskim oceanie. Mamy tu przedstawioną walkę haji, z gatunku rekinów, z ośmiornicą-atramentnicą. Haja, mająca przydomek tygrysicy, rzuca się na mątwę, a znalazłszy słaby punkt jej ciała, po straszliwem i dramatycznem spotkaniu i walce, zadała jej śmiertelny cios. Na dole haja urządza sobie stypę z cielska zwyciężonej mątwy, odgryzając pokolei każde z jej ośmiu ramion.

* * *

Od bardzo dawna świat naukowy stwierdził w ciele ludzkiem obecność elektryczności. Każdy ruch naszych mięśni wywołuje wyzwalanie się z drobnych ilości energji elektrycznej.

Sensacyjnego odkrycia w tej sprawie dokonał ostatnio prof. Ress, studjując własności oka.

Zbudował on nieskomplikowany aparat, złożony z szerokiej rurki metalowej, wewnątrz której zawieszona jest na nitce metalowa spirala. Własnością jej jest, że gdy przepuścimy prąd elektryczny, zacznie się ona obracać w kierunku magnetycznego bieguna ziemi, to znaczy z północy na południe. W aparacie prof. Ress'a niema żadnych śladów prądu, a spirala pozostaje nieruchoma. — Doświadczenie polega na tem, że trzeba uważnie patrzeć na spiralę przez szparkę w rurce. Okazuje się, że już po pięciu sekundach spirala zaczyna się zwolna obracać, co dowodzi, że przepływa przez nią prąd. Można łatwo dowieść, że prąd ten idzie z oka eksperymentatora, a nie z jego całego ciała. Wystarczy bowiem zamknąć oczy, a natychmiast spirala przestaje się obracać.

Prof. Ress zbadał przytem siłę magnetyczną w oku pogromców zwierząt i stwierdził u nich bardzo wysoki potencjał elektryczności. Uważa on, że tem właśnie należy sobie tłumaczyć wpływ, wywierany na zwierzęta. Zdaniem uczonego, nieszczęśliwe wypadki, w klatkach zdarzają się wtedy, kiedy prąd, idący z oczu pogromcy, przerywa się nagle. Wówczas zwierzę, uwolnione z pod przemożnej siły magnetycznej wzroku, rzuca się na pogromcę.

* * *

Warto się zapoznać jak znaczne wydatki pociąga za sobą żywienie zwierząt w niewoli Najbardziej wybredne są węże. Jeżeli nie dostają tego, co im smakuje, urządzają strajk głodowy. Zdarzały się wypadki, że wąż nie jadł rok i dwa lata. Lecz wszystko ma swoje granice i jeżeli nie uda się znaleźć odpowiedniego pożywienia, dla wytrwałego gada następuje wycieńczenie i śmierć z głodu.

* * *

Niedawno otrzymał ogród zoologiczny w Londynie wspaniały okaz t. zw. królewskiego kobry, mierzący 3 metry. Węże tego gatunku są w świecie zwierzęcym kanibalami i zjadają zazwyczaj każdego mniejszego gada, jakiego im się uda pochwycić. Ale w tym wypadku natrafiono na szczególnie wybrednego osobnika, który ze wstrętem odwracał się od wszystkiego, a spożywał tylko pewien gatunek węży, żyjących na Archipelagu Malajskim — po 5 funtów st. sztuka.

* * *

W paryskim ogrodzie zoologicznym żył znów wspaniały pyton o żyłkowatej skórze, który odmawiał wszelkiego posiłku i był już bliski śmierci. Przypadkowo dobito okaleczoną gęś i komuś przyszło na myśl poczęstować nią wytrwałego głodomo-







ŻYWIĄ SIĘ I WALCZĄ...



ra. Zjadł i zaczął przychodzić do siebie. Sądzono, że teraz zacznie przyjmować wszelki pokarm, ale wnet przekonano się, że kapryśny pyton nie uznaje nic prócz gęsi.

* * *

Najdroższy obiad urządził sobie królewski kobra w londyńskim Zoologu. Niedoświadczony dozorca umieścił go pierwszej nocy po przywiezieniu w klatce razem z sześciu zwyczajnemi kobrami. Na drugi dzień rano okazało się, że większy i silniejszy gad połknął całe towarzystwo. Na dobitkę mniejsze węże nie były kupione i handlarz zwierząt zażądał za nie bardzo wysokiej ceny. Dopiero po dłuższych targach, zgodził się na 25 funtów (ponad 700 zł).

* * *

Bardzo dobry apetyt mają foki, a jeszcze lepszy spokrewniony z niemi i nieco podobny z wyglądu lew morski (mors). Gdy zbliża się godzina karmienia, wydaje on raz za razem głośny, niesłychanie przeraźliwy krzyk. Nadchodzi wreszcie posługacz z olbrzymim koszem ryb — zresztą, jak najtańszych, funt kosztuje tylko 4 pensy (ok. pół złotego). Lew morski zjada codziennie 25 funtów.

Jest odmiana foki, odznaczająca się olbrzymim wzrostem i z tego powodu znana foką-słoniem. Londyński Ogród Zoologiczny posiadał młode z tego gatunku. Niemowlę miało jednak niezły apetyt, skoro na ryby dla niego musiano wydawać tygodniowo 10 funtów sterlingów (blisko 300 złotych). Nie służyła mu niewola i zdechło. Berliński Zoolog posiada dorosły okaz foki-słonia, imieniem Roland, mierzący 6 metrów, wagi 3000 kg. Wikt tego olbrzyma kosztuje rocznie ok. 30.000 marek niemieckich. Do osobliwych cech zwierzęcia należy jego nos, u samców wydłużający się na kształt trąby do pół metra nieraz. Mimo to maska pyska słonia morskiego przypomina bardzo twarz ludzką, oczywiście, jako jej karykatura.

* * *

Świnia musi zeżreć przynajmniej 1′ kg. kartofli, aby jej przybyło 1 kilogram średnio tłustego mięsa. Przy tej przemianie 80 proc. wartości pożywnej kartofli ginie dla człowieka, a tylko 20 proc. przybiera bardziej smakowitą postać, tłustej słoninki.

* * *

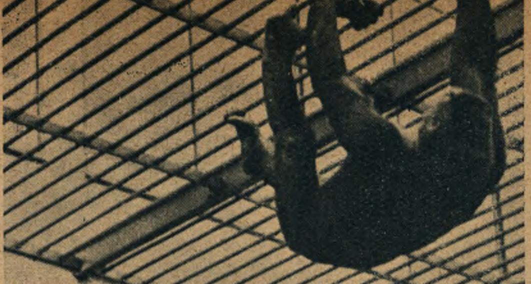
Amerykański badacz życia ptaków Archibald Rutledge, opowiada, jak wyleczył się raz na zawsze od trzymania ptaków w klatce.

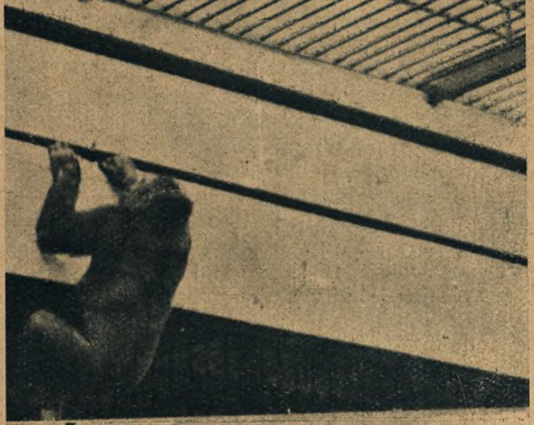
Jako chłopiec postanowił złapać młodego drozda i trzymać go w pokoju, aby móc przysłuchiwać się jego pieśniom. Gdy siedział raz przy klatce młodego więźnia, zauważył, jak matka przyleciała do pisklęcia z pożywieniem w dziobku. Usunął się więc by zdaleka patrzeć jak matka karmi małe poprzez druty klatki.

Jakież było jego zdumienie, gdy nazajutrz znalazł swego śpiewaka martwego! Skoro powiedział o tem ornitologowi Arturowi Wayne, usłyszał odeń, że stary drozd, gdy widzi swe pisklę w niewoli, przynosi mu trujące jagody. Widocznie sądzi, że lepsza jest śmierć od niewoli.

* * *

Przedsiębiorca samochodowy Piotr Suessbauer miał oryginalny wypadek. Kiedy nocą wracał do Wiednia, w świetle reflektorów samochodowych zobaczył, że na drodze siedzi olbrzymi czarny kocur. Pomimo sygnałów trąbki kot ani drgnął. Gdy Suessbauer podjechał zupełnie blisko, kot nagłym skokiem znalazł się na karku kierowcy samochodu, wczepiając się weń zębami i pazurami z całej siły. Pomimo przerażenia nie puścił kierownicy. Dwaj pasażerowie, którzy znajdowali się w wozie, zerwali wściekłe zwierzę z szyji kierowcy i rzucili je na szosę. Suessbauer natychmiast po przybyciu do Wiednia musiał udać się do chirurga, aby opatrzyć rany, zadane przez oszalałego kota.









MASONERJA W POLSCE

NIECO DANYCH HISTORYCZNYCH.

Od pierwszej nieomal chwili swego powstania wolnomularstwo, czyli masonerja rozciągnęła również swe wpływy na Polskę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że masonerja umaczała swe zdradzieckie palce w podłem dziele pierwszego rozbioru.

Pod jej wpływem powstaje powoli i nasza rodzima, polska masonerja. Początkowo jest ona raczej zabawką przedstawicieli możnych rodów. Tajemniczy i dziwaczny ceremonjał pociąga swą niezwykłością umysły, raczej jako ciekawostka. Powoli jednak nasza rodzima masonerja przekształca się na ruch coraz poważniejszy, zarówno politycznie jak i kulturalnie.

Za Stanisława Augusta Poniatowskiego loże masońskie nabierają wielkiego znaczenia. Wpływy ich sięgają wszędzie, znajdziemy je nawet w konfederacji barskiej. Trzeba stwierdzić — coprawda — że masonerja polska owych czasów miała nieomal patrjotyczny charakter. Jej zwolennicy widzieli w niej — naogół z całą dobrą wiarą — narzędzie odrodzenia politycznego i kulturalnego kraju.

Początki ruchu wolnomularskiego w Polsce sięgają jeszcze czasów panowania Augusta III Sasa. Z zagranicznych podróży przywozili polscy magnaci ciekawą „zabawę towarzyską" w loże masońskie. O takim częściowo charakterze naszego wolnomularstwa świadczą groteskowe nazwy lóż, jak np. Loża Mopsów i t. p. *).

Założycielem pierwszej loży pod nazwą „Académie de Secrets" (r. 1763) był cudzoziemiec, płk. artylerji, nauczyciel synów hetmana Wacława Rzewuskiego w Podhorcach (zamek Sobieskich), Jan Łukasz Thoux de Salverte. Wzorował się on na loży zorganizowanej w Rzymie przez Porto Riche'a p. t. „Akademja starszych czyli tajemnic". Instytucja nie przetrwała nawet roku spowodu wyjazdu założyciela.

Dopiero w styczniu 1767 r. przystąpiono do stworzenia nowej loży pod nazwą „Cnotliwego Sarmaty". Po powrocie z zagranicy płk. Thoux, loża, zaopatrzona przezeń w najnowsze wiadomości hermetyczne i alchemiczne, uznała się za zdolną do szerszego życia i ogłosiła się Wielką Lożą. Wielkim mistrzem został Fryderyk Moszyński, namiestnikiem nasz płk. Thoux. Opracowano wówczas pierwszy statut, którym polskie wolnomularstwo rządziło się aż do r. 1783. Wielka loża przystąpiła do szerokiej działalności, wznowiła pracę zawieszonej loży niemieckiej „Trzech braci", stworzyła dla Francuzów lożę „Jedność".

Zawiadomiono „Wielkie Wschody francuski, angielski i niemiecki" o powstaniu Wielkiej Loży Polskiej. Hr. de Vignoles — francuski wielki mistrz prowincjonalny z polecenia wielkiego mistrza Francji, księcia de Beaufort, mianował Moszyńskiego prowincjonalnym wielkim mistrzem Polski. Moszyński nie skorzystał z tej rzekomej łaski i ogłosił niezależność wolnomularstwa polskiego i litewskiego.

Działalność Wielkiej Loży jest coraz rozleglejsza. Powstają z jej pobudki: loża „Przyjaźni" w Białymstoku, „Trzech Orłów Białych" we Lwowie, „Trzech Wież" w Malborgu i „Trzech Gwiazd" w Gdańsku. Rok 1770 świadczył już o wielkim wpływie loży. Wciągnęła ona do swych kadr najwybitniejsze osobistości. Uroczystość świętojańską obchodzono z wielkim przepychem we własnej siedzibie loży na Bielanach. Zakupiono ten pałac dzięki hojnej zapomodze z królewskiej szkatuły Stanisława Poniatowskiego.

Wielka loża warszawska nie ustawała w zakładaniu lóż prowincjonalnych, widząc w nich ważne narzędzie swych politycznych przedsięwzięć. Tak np. założyła loże „Cnotliwy Wędrowiec" w Preszowie na Węgrzech, gdzie była główna kwatera konfederacji barskiej. W Paryżu powstaje loża „Wytrwałość".

Obok tego jednak Wielkie Wschody zagraniczne zakładały swe filje na ziemiach polskich. Wschód niemiecki założył szereg lóż w Gdańsku (dwie), w Malborgu (trzy), w Starogardzie, w Załeszczykach.

Loże te zakładali Niemcy z Berlina i Królewca w niewątpliwych celach politycznych. Przecież w berlińskiej loży „Trzech Globów" grał decydującą rolę Fryderyk Wielki.

W każdymbądź razie loża „Cnotliwego Sarmaty" zachowała swą niezależność do czasów pierwszego rozbioru. Jest to zasługa Moszyńskiego, człowieka światłego rzeczywiście. Na jego cześć wybito cztery medale, z których jeden nosi napis: „Ex uno tria in unum".

Wielce wybitną rolę grał Stanisław Lubomirski, ożeniony z Czartoryską, wojewodzianką ruską. Zbliżało go to do t. zw. familji, t. j. zwolenników króla Stanisława Poniatowskiego. Mimo to jednak zachował niezależność poglądów politycznych, popierając energicznie konfederację barską, od której oczekiwał detronizacji króla. Jest możliwe, że brał udział moralny w słynnem porwaniu Stanisława Augusta. Nie jest bez znaczenia, że zamachowcy wywieźli króla w kierunku Bielan, gdzie, jak wiadomo, mieściła się siedziba loży. Bardzo możliwe, że zamierzano w niej zmusić króla do podpisania abdykacji. Byłby to ciekawy kaprys dziejów. Monarcha podpisujący rezygnację z tronu w domu, zakupionym za jego własne pieniądze.

Pierwszy rozbiór Polski położył chwilowo tamę w rozwoju wolnomularstwa polskiego i przekreślił zupełnie jego pewną niezależność.

W roku 1773 powrócił do Warszawy Brühl, który jeszcze w r. 1767 odegrał epizodyczną rolę w powstaniu pierwszej loży. Brühl wrócił w charakterze wielkiego wizytatora generalnego t. zw. dogmatyki templarjuszowskiej w Polsce i stworzył diecezję polską pod władzą księcia Ferdynanda Brunświckiego. Wówczas Moszyński połączył się z Brühlem.

Brühl położył twardą rękę na polskiem wolnomularstwie, wprowadzając ścisły ryt masoński. Obok lóż „Trzech Braci" i „Jedności" otworzył w Warszawie lożę „Karola pod Trzema Hełmami" i założył jej filję w Krakowie. Wszystkie te loże poddały się zwierzchnictwu Związku lóż niemieckich.

Sam król Stanisław August Poniatowski zdecydował się zostać członkiem loży „Karola pod Trzema Hełmami", a przecież posługiwała się ona w swych obrzędach językiem niemieckim i mieściła w domu gminy ewangelickiej przy ul. Królewskiej.

Dawni członkowie zlikwidowanej po pierwszym rozbiorze loży „Cnotliwego Sarmaty", niechcąc się poddać niemieckim wpływom, utworzyli 30 kwietnia 1774 r. „Zakon Kawalerów św. Karola", „Przyjaciół Doświadczonych". Loża ta sczasem przybrała nazwę „Dobrego Pasterza".

Należało do niej wielu wybitnych obywateli, jak wojewoda Józef Hylzen, konfederat barski, pełniący przy generalicji konfederackiej funkcje sekretarza Karol A. Heyking, protestant, dalej książę Mikołaj Radziwiłł, generał J. Zajączek, gen. Andrzej Mokronowski i marszałek sejmu 1776 r. — Andrzej Ogiński. „Dobry Pasterz" pracował według rytu szkockiego i ostatecznie uznał się za podległego angielskiemu Wielkiemu Wschodowi w r. 1780.

Rok 1779 upływał dla wolnomularstwa polskiego, zależnego od Niemiec, pod znakiem reform. Podjął je i przeprowadził przybyły z zagranicy wojewoda poznański, Jan N. Poniński.

*) Te dziwaczne nazwy cechują różne organizacje owych czasów, jak np. Towarzystwo Szubrawców, do którego należał równie i Adam Mickiewicz.

Na czele wolnomularstwa postawił on lożę „Karola pod Trzema Hełmami", podporządkowując jej loże: „Augusta pod Cnotliwym Sarmatą", nazwaną tak dla imienia króla, dalej „Alojzego pod Obosiecznym Mieczem" — na cześć Brühla i „Jana pod Gwiazdą Biegunową" — od swego imienia.

W tym czasie zaznaczyły się również wpływy rosyjskie w wolnomularstwie polskiem. Powstała wielka loża „Katarzyny pod Gwiazdą Północną" na cześć carycy rosyjskiej, z podległemi jej lożami p. n. „Świątyni Izys" pod młotkiem przewodniczącego Jana Potockiego, francuską „Tarczą Północną", kierowaną przez J. Wielhorskiego, niemiecką — „Bogini Eleusis". Pozatem były jeszcze zależne polska loża „Gorliwego Litwina", niemiecka „Kościół Mądrości" wreszcie „Stałość Uwieńczona", „Doskonała Tajemnica", „Doskonałe Milczenie" i „Doskonała Równość" — te dwie ostatnie zależne od Wielkiego Wschodu francuskiego.

W tym stanie rzeczy pojawia się na arenie wolnomularstwa polskiego wybitna postać — Ignacy Potocki. Zostaje on obrany wielkim mistrzem „Zakonu św. Karola". Na tem stanowisku podejmuje on myśl stworzenia „Wielkiego Wschodu Polskiego" i wyzwolenia wolnomularstwa naszego od wpływów obcych. Trzeba przyznać, że jedynie francuskie wolnomularstwo sprzyjało temu wymaganiu. Niemcy i Rosjanie, a także Anglicy nie chcieli wypuścić spod swej kontroli Polski.

Po r. 1781 datuje się w Polsce niezwykły rozkwit wolnomularstwa. Powstaje w tym czasie około piętnaście nowych lóż prowincjonalnych, w Grodnie, Wilnie, Poznaniu, Słupsku, Kwidzyniu, Malborgu, Gdańsku Samborze, Wieliczce, Lwowie, Tarnowie.

Pozatem powstają cztery loże polskie na Węgrzech.

Teraz zapoznajmy się z wewnętrzem życiem lóż wolnomularskich według ich statutów i regulaminów. Statut dzieli się na kilka rozdziałów: prawa kardynalne, prawa lóż zwyczajnych, loża św. Jana, obowiązki urzędników, loża recepcyjna, grzywny, kary i bankiet.

Zgodnie z prawami kardynalnemi każdy wolnomularz powinien być chrześcijaninem, „wyznającym Wielkiego Architekta świata, który go stworzył i w którym mieszka wszelka mądrość". Nie mogą być członkami: ateusze, rozpustnicy, przestępcy i przesadni dewoci, bankruci, goniący za zyskiem, oszuści intryganci i oszczercy.

Wolnomularz obowiązany jest do czci i posłuszeństwa względem panującego, „obowiązkiem jest poświęcić swe życie na usługę króla i ojczyzny". Przyjaźń braterska jest „głównym celem wolnomularstwa".

Każda loża ma urzędników: mistrza katedry — przełożonego; dwóch dozorców — jego pomocników; sekretarza, mówcę, archiwistę, rachmistrza, ekonoma, mistrza ceremonji, brata strasznego — oprowadzającego kandydata podczas prób mistycznych stuarta — zarządzającego sprawami ekonomicznemi loży i wreszcie brata śledziciela.

Kandydat powinien mieć najmniej dwadzieścia lat; po głosowaniu loża wyznacza braci śledzicieli, o ile wyniki śledztwa są pomyślne, następuje drugie głosowanie, a następnie ceremonja przyjęcia.

Obrzęd przyjęcia połączony był z różnemi próbami, mającemi na celu poddanie badaniu wrażliwości i wytrzymałości kandydata. Z zawiązanemi oczyma prowadzono adepta wolnomularstwa po różnych zakamarkach, zapadał się on w wilcze doły, obejmowały go płomienie, wstępował wdół i wgórę i wreszcie wobec zamaskowanych braci składał przysięgę.

Pewnej reformy statutu masońskiego dokonał wielki mistrz Ignacy Potocki. Nowy statut obowiązywał loże od r. 1783 do 1820.

Niezwykłe poruszenie wśród naszych polskich masonów wywołało przybycie do Warszawy w r. 1870 hr. Cagliostra. Ten znany i osławiony szarlatan stworzył własny system wtajemniczenia masońskiego, podzielony na dziewięćdziesiąt stopni. System ten nazwał egipskim, a sobie przypisał tytuł wielkiego mistrza, czyli „najwyższego kopta" dla mężczyzn, dla kobiet — „najwyższą koptą" była jego żona — Lorenza.

Rytuał obrzędów został zapożyczony z ceremonjału kościelnego i składał się z adoracyj, kadzeń, egzorcyzmów i hymnów.

Celem związku masońskiego, założonego przez hr. Cagliostra jest udoskonalenie człowieka przez odrodzenie fizyczne i moralne. Odrodzenie ciała daje kamień filozoficzny i kwiat akacji, odmładzającej siłę na podobieństwo rajskiego drzewa żywota. Odrodzenie moralne ma przynieść pięciogran, zmazujący grzech pierworodny.

Wolnomularze polscy zaprosili Cagliostra, by nauczył ich fabrykacji złota. Próby, odbywające się w pałacyku Poniatowskiego na Woli, nie dały wyników, zwłaszcza naśmiewał się z nich Moszyński — wielki mistrz. Potem jednak ogarnęła go taka żądza złota, że po wyjeździe Cagliostra popędził za tym szarlatanem w świat. W czasie tej podróży po całej Europie zmarł w Wenecji.

Małżonków Cagliostro gościł Kazimierz Poniatowski w pałacu na Solcu, urządzając z nimi seanse spirytystyczne z t. zw. gołębicą, t. j. niewinną dziewczyną, odczytującą w karafce z wodą (zamiast kuli kryształowej) — przeszłość i przyszłość.

Cagliostro otworzył w Warszawie lożę egipską. Pracowała ona w specjalnie na ten cel zbudowanej grocie (która zachowała się do dziś dnia), na terenie obecnego szpitala św. Łazarza przy ul. Książęcej. Grota zbudowana była w kształcie rotundy, wokół której biegł korytarz. Piękny sufit kasetonowy pozostał do dziś, coprawda znacznie uszkodzony.

Ciekawem zjawiskiem w dziejach polskiego wolnomularstwa jest t. zw. Zakon p. n. „Naród Boży lub Nowy Izrael". Zakon ten założył Tadeusz hr. Grabianka. Wyższe studja odbywał w Berlinie, gdzie zapoznał się z bibljotekarzem Fryderyka W., następnie za jego pośrednictwem z hr. Cagliostro.

Grabiankę nie interesowało wcale zagadnienie wyrobu sztucznego złota, pociągnęła go natomiast teorja o odrodzeniu moralnem człowieka.

Pogłębił jeszcze to zainteresowanie, stykając się w Paryżu z zakonem martynistów i różokrzyżowców. Była to dziwna epoka.

W czasach poprzedzających rewolucję francuską — jak wyjaśniał to w swych wykładach w Collége de France — w niektórych warstwach społecznych obudziło się dziwne pragnienie życia religijnego, w tym momencie właśnie, kiedy szykowano się do decydującej rozprawy z Kościołem katolickim.

„Loże masońskie — pisze prof. St. Małachowski-Łempicki — w Montpellier i Lyonie, popchnięte tą instynktowną potrzebą, pracowały nad podniesieniem pewnych tajemnic do wysokości prawd chrześcijańskich. Dziwnem to się zdawać może, że kiedy rozum ludzki odrzucał prawie ze wściekłością formy kościelne, w tymże czasie aprobował stowarzyszenia, samym jeno hołdujące formom. Zaprzeczano praw obywatelstwa dogmatom chrześcijańskim, unosząc się jednocześnie nad tajemnicami francmasonerji".

T. Grabianka, przejęty temi nowemi ideami, zakłada w r. 1786 w Awinjonie wspomniany zakon „Narodu Bożego", na czele którego stanął sam z tytułem króla.

Król Narodu Bożego — jest osobą duchowną, wyższą nawet od arcykapłana. Król ma moc przepowiadania i dlatego każdy musi poddać się jego orzeczeniom niby wyrokowi. Wszystkie jego rozporządzenia stanowią prawo. Jest on niby bóstwo niczem nie skrępowany.

Grabianka dążył nietylko do osiągnięcia królewskości duchowej, ale również do zdobycia korony polskiej.

Z tego powodu ogłosił on szereg proroctw jako to: — król Narodu Bożego zostanie królem polskim cesarstwo rosyjskie upadnie, król zniszczy potęgę Turcji, opanuje Azję, Afrykę i stolicę swą ustanowi w Jerozolimie.

Grabianka wyjeżdża następnie do Petersburga, gdzie nauka jego zyskuje wielu zwolenników. Ostatecznie jednak nie mógł przecież zbyt długo bezkarnie głosić swych proroctw, zapowiadających m. in. upadek Rosji. Aleksander I każe go osadzić w fortecy Petropawłosk, gdzie po paru miesiącach pobytu zmarł w r. 1806.

Z PIŚMIENNICTWA

I. GUNDULIC: Osman. Str. 480. Dom Książki Polskiej. 1934.

W Longenjalnym przekładzie Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego pojawił się najpiękniejszy poemoepos południowo-słowiański. Jest prawdziwą zasługą prof. J. Benesica, kierownika bibljoteki jugosłowiańskiej, że wreszcie doprowadził do wydania ,,Osmana". Od stu lat czynione w Polsce próby przetłumaczenia Osmana czas największy było uwieńczyć wykonaniem.

KS. DR. STANISŁAW TRZECIAK: Mesjanizm a kwestja żydowska. Warszawa 1934, str. 397, nakładem autora, ul. Freta 10.

Autor w wyczerpującem swem dziele bierze pod uwagę prawie wyłącznie źródła żydowskie i przedstawia bezdroża, po jakich się błąkały i błąkają myśl i duch żydowski, poszukując i oczekując do dziś dnia swego ,,Mesjasza".

Przytem wykazuje autor cynizm i barbarzyństwo żydów w stosunku do innych narodów; podkreśla też pewne wypadki w Polsce, wykazując, że Żydzi żerowali zawsze na naszym organiźmie, zdradzali nas, sprzedawali nas za Judaszowe srebrniki. Dobrze jest poznać całą prawdę o Żydach, ażeby się od nich bronić.

OLGIERD GÓRKA: Ogniem i mieczem. R. 1934.

Rewizjonizm Górki nie dotyka jak sam zaznacza, wartości ani koncepcji literackiej dzieła Sienkiewicza. Historykowi chodzi natomiast o wystudjowanie prawdziwych perspektyw epoki wojen kozackich i o wyciągnięcie pewnych wniosków historjozoficznych i charakterologicznych w stosunku do Polski i Polaków. Rewizja Górki niewątpliwie przyniosła nanowo czy przypomniała pewne fakty, które zmieniają nietylko tło, ale i treść naszej historji. Górka szczególnie upodobał sobie postać Jeremy Wiśniowieckiego, którego właściwe oblicze duchowe i polityczne tropi zaciekle z raptularzem dat i sprawdzianem etycznym w ręku. Trzeba przyznać, że w tej wiwisekcji jeden i drugi pseudowawrzyn odpada, niemniej jednak obrońcy Jeremy mają też sporą garść argumentów i razporaz ocalają honor księcia Jeremy. Faktem natomiast pozostanie, że Jerema zdradził Lwów, choć wziął za jego obronę pieniądze. Drugą postacią traktowaną znów in plus jest Jan Kazimierz. Tu znów nie pierwszemu Górce przypada zasługa wychwalenia militarnych zasług króla.

Zrobili to inni wcześniej, lecz dobrą było rzeczą przypomnienie tego. Natomiast pewne syntezy Górki, poddające w wątpliwość naszą bitność i rycerskość narodową, są bardzo trafne i aktualne. Górka słusznie wykazuje, żeśmy nie umieli zorganizować swej siły militarnej, że w okresie kozackim jej podstawą był raczej lud niż szlachta. Te rzeczy winny być dobrze przestudjowane. Trzeba zrewidować pewne cechy naszego charakteru narodowego i pokazać go we właściwych, realnych wymiarach.

Kartka polemiczna Józefa Marjana Chudka ,,Ośle kryterja", str. 4.

,,Drzewa", znane czytelnikom naszym z recenzji wywołały odgłosy w prasie. Autor ,,Drzew" odpowiada swym niefortunnym recenzentom p. Dobaczewskiej i Sebyle, podkreślając swój zamiar pisarski. ,,Objawiło mi się Słowo Dźwięczące, które nietylko znaczy, ale i dźwięczy. Odkryłem (dla siebie) dwa wymiary poezji: wymiar sensu i wymiar dźwięku".

ELŻBIETA MARWEGOWA. Ulica. Poznań 1932.

W interesującym tym zbiorku spostrzegamy ciekawy fenomen przełamywania się twórczości poetyckiej z dawnemi formami i wcielania w nowe. Z jednej więc strony szereg wierszy, takich jak ,,Lot w słońce", ,,W wiosenne przeszpiegi", ,,Akacje", ,,Sny", które zarówno wersyfikacyjnie, jak i treściowo sięgają po paseistycznej maniery, z drugiej znów takie jak tytułowa ,,Ulica", ,,Przechodnie", ,,Dorożka", gdzie forma i treść spokrewnione są z nowemi kierunkami. Autorka stoi jakby zakłopotana na przełomie dwu światów i stylów i waha się przed decyzją. Miejmy nadzieję, że decyzja ta wypadnie z korzyścią dla obu stron, to jest dla poetki i dla poezji.

JAN ADAMUS. Państwo litewskie w latach 1386 — 1398. Wilno 1932 str. 37. Znicz.

E. NEHRING. Pielęgnowanie drzew i krzewów owocowych w zimie i lecie. Z 24 rycinami. Warszawa, 1934. Str. 60. Zł. 1.50.

Wielu właścicieli domków podmiejskich ma ogródki owocowe, ale, czy każdy dobrze zdaje sobie sprawę, kiedy i co należy czynić, aby drzewka rosły normalnie i dały obfity plon? Dla tych to miłośników przyrody i własnego smacznego owocu wydaną została niniejsza książeczka, która każdemu odda wielką usługę, wskazując na wszystkie praktyczne czynności w zakresie pielęgnowania własnego ogrodu podczas całego roku.

E. NEHRING. Pielęgnowanie kwiatów w pokoju, wyd. II, uzupełnione, z 14 ryc. Warszawa, 1934. Str. 75. Zł. 1.50.

Nieoceniony podręcznik dla miłośników kwiatów w mieszkaniu. Daje tyle praktycznych i fachowych rad, związanych z utrzymaniem roślin w warunkach domowych, że każda z Pań, po przeczytaniu dowie się dopiero, co należy czynić, żeby kwiaty w doniczkach, czy to na parapecie okiennym, czy też w żardinierze, miały zdrowy i należyty wygląd.

Verbum. Kwartalnik Nr. 1. — 1934.

Pismo to, poświęcone życiu wewnętrznemu, stanowi pożądane uzupełnienie katolickiej prasy perjodycznej. Artykuł prof. K. Górskiego daje wnikliwą analizę twórczości Mauriaca na tle poczucia odpowiedzialności katolickiego pisarza za swe dzieło. — Ze wzruszeniem przeczytaliśmy kartki z pamiętnika ś. p. Z. Sokołowskiej. Żywa pamięć zetknięcia się osobistego z tą niezwykłą pod względem duchowego wyrobienia postacią, niewątpliwie dodała wiele uroku tej lekturze. Tem niemniej pamiętnik, traktowany objektywnie, posiada wysoki ton etyczny i mistyczny, mówi wyraźnie o bogactwie i intensywności przeżyć duchowych autorki. — Poezje i recenzje, uzupełniające treść numeru stoją na wysokim poziomie. — Miejmy nadzieję, że dobrze zapowiadające się wydawnictwo przetrwa dłużej niż sezon wydawniczy, lub jakiś rok.

f. n. cki.

Pro Christo. Miesięcznik. Organ młodych katolików. N. 1, 2, 3, 4, 5. — 1934.

Dobrze zasłużone to pismo, mające już dziesięć lat istnienia, objął spowrotem ks. Wiśniewski. Ostatnich kilka numerów. jest żywo zredagowanych, dając szereg rozważań na tematy aktualne, szczególnie w kwestji żydowskiej i w zakresie organizacji ruchu katolickiego wśród młodych. Nastawienie etyczne pisma i ton bojowy nadaje mu specjalny charakter, który je dodatnio wyróżnia.

Młodzież Katolicka. Organ związków młodzieży katolickiej N. 1, 2, 3 — 1934.

Ta trybuna związków katolickich daje możność zapoznania się z przygotowaniem ideowem tak bujnie dziś rozkwitającej młodej katolickiej inteligencji. Organ jej świadczy o żywej reakcji na wszystkie bieżące zagadnienia. Ankieta o nacjonalizmie, głosy o bezrobociu (inż. Beata Trylińska), dalej otwarcie z inicjatywy redaktora dr. St. Brzezińskiego działu poświęconego sztuce, teatrowi, literaturze mówi o wszechstronności zainteresowań. Odrodzenie religijne młodzieży akademickiej znajduje tu swój odpowiednik intelektualny, będący probierzem i gwarancją trwałego ugruntowania się katolicyzmu w młodej Polsce.

ZE SZTUKI

Monumentalność Wąsowicza, wystawiającego w I. P. S'ie jest dość podejrzanej natury. Schematyzm w traktowaniu figur jest daleko idącą trywializacją zadań malarza. Nawet w rzeźbie byłby on nie do tolerowania. Traktowanie kompozycji obrazu, jako zestawienia małozróżniczkowanych bryl-ludzi jest pomyłką: albo za dużo w tych bryłach ludzi, albo zadużo w tych ludziach bryłowatości: Natomiast kolorystyka Wąsowicza choć małointensywna, jest naogół czysta, logiczna, dobrze zagospodarowana.

W sumie biorąc, artysta jest na złym torze. Zlekceważył sobie feeryczność ludzkiego kształtu i robi z nas niechlujne, tępolice roboty. Zakładamy przeciw temu protest.

Mistrzem wyczucia kształtu w jego monumentalności jest Piotr Michałowski, lepszy zresztą jeszcze jako portrecista. Polski ten Valasquez operuje również linją syntetyczną, wyczuwającą potencjał wibrującego kształtu, ale umie wysubtelniać, cieniować, zna granicę między schematem a indywiduum, rozumie dynamikę ruchu, zwłaszcza w koniach ciągnących, pracujących. Jako portrecista ujawnia charakter, daje wyraz wewnętrznej, psychologicznej zawartości człowieka. Lubi typy o wyraźnym stygmacie upadku, grzechu, cierpienia czy natchnienia.

cki.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne zostało założone w roku 1871 przez grono melomanów i wybitnych muzyków polskich, z Józefem Wieniawskim i Aleksandrem Zarzyckim na czele.

Ujęło Towarzystwo stopniowo stołeczne życie muzyczne, organizując w najodpowiedniejszym ówczesnym lokalu, t. j. w Salach Redutowych w gmachu teatru Wielkiego, koncerty.

Ilość członków wzrastała z każdym rokiem, toteż Towarzystwo rozwinęło się nader szybko pod kolejnem kierownictwem swoich pierwszych dwóch dyrektorów: Józefa Wieniawskiego i Aleksandra Zarzyckiego. Działalność koncertowa Towarzystwa osiągnęła swój punkt kulminacyjny pod kierownictwem czwartego skolei dyrektora Towarzystwa, Zygmunta Noskowskiego, który podjął się prowadzenia Towarzystwa, po wyjeździe do Krakowa trzeciego skolei dyrektora, Wład. Żeleńskiego.

W celu coraz szerszego umuzykalnienia kół amatorskich, założyło Towarzystwo w roku 1884 klasy chórowe w Salach Redutowych, pod kierownictwem Piotra Maszyńskiego. Był to już właściwy zaczątek Szkoły Muzycznej przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznem. Wkrótce rozszerzono działalność nowopowstałej Szkoły: zaprowadzono klasy instrumentów dętych, dykcji i deklaracji, klasę organową wraz z Sekcją Muzyki Kościelnej, stworzono chór dziecięcy pod kierownictwem Zygmunta Noskowskiego i wreszcie klasy śpiewu solowego i instrumentów.

Działalność koncertowa Towarzystwa skurczyła się nagle z chwilą powstania nowej wielkiej placówki specjalnie koncertowej, Filharmonji Warszawskiej we własnym imponującym gmachu — i wkrótce całe życie koncertowe, przynajmniej symfoniczne, przeniosło się z Sal Redutowych.

Organizowało Towarzystwo wszelako jeszcze koncerty kameralne i nieraz orkiestrowe amatorskie, dzięki zabiegom i inicjatywie swego nowego dyrektora, Mieczysława Karłowicza. Jednak współzawodnictwo z zawodową orkiestrą Filharmonji Warszawskiej stawało się coraz trudniejsze i cięższe, na skutek czego, zwłaszcza po tragicznej przedwczesnej śmierci nieodżałowanej pamięci Mieczysława Karłowicza, wygasa działalność koncertowa Towarzystwa niemal całkowicie.

Kolejnymi dyrektorami Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego byli: Józef Wieniawski, Aleksander Zarzycki, Władysław Żeleński, Zygmunt Noskowski, Michał Biernacki, Mieczysław Karłowicz, Bolesław Domaniewski i obecnie od lat 6-ciu Adam Wieniawski.

Pod kierownictwem ś. p. Bolesława Domaniewskiego rozszerzyła natomiast bardzo znacznie swoją działalność Szkoła Muzyczna, obejmując już i klasy fortepianowe.

Szkoła Muzyczna, przez wzgląd na położone już zasługi, uzyskała wreszcie w Polsce niepodległej, za ministerstwa Zenona Przesmyckiego, w roku 1919, zasłużoną i zaszczytną nazwę: „Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie”, Szkoły istniejącej po dzień dzisiejszy.

Towarzystwo zaznaczyło swoją działalność i na polu wydawniczem (dzieła Moniuszki, Chopina, Karłowicza i in.), pozatem przez zorganizowanie doniosłe znaczenie mających, Międzynarodowych Konkursów Chopinowskich (1927 i 1932).

Z racji tego podwójnego a tak w naszych stosunkach muzycznych rzadkiego jubileuszu przygotowało Towarzystwo dwa koncerty, nad któremi protektorat raczył przyjąć p. minister W. R. i O. P. Wacław Jędrzejewicz. Pierwszy koncert (spowodu jubileuszu Szkoły), poprzedziło treściwe przemówienie dyr. A. Wieniawskiego, następnie usłyszeliśmy szereg produkcyj solowych i zespołowych. Z produkcyj solowych wymieniamy artystyczną grę na skrzypcach p. M. Stokowskiej i N. Gutmana, na fortepianie p. O. Iliwickiej, L. Boruńskiego i B. Woytowicza. Z produkcyj zespołowych bardzo udatnemi były występy orkiestry szkolnej pod dyr. prof. Śledzińskiego, która poza towarzyszeniem solistom wykonała też starannie finał symfonji Fr. Lessla, oraz chóru mieszanego szkoły pod dyr. L. Kowalskiego.

JÓZEF ST. CZARNECKI.

NA RYNKU I POD PRĘGIERZEM

Ranek osuszył łzy królowej i przyniósł ukojenie jej żalu. Ludziom ukazała już oblicze spokojne, choć nasycone głębokim smutkiem. Tylko kąciki ust dziwnie jej drgały, jakby od tłumionego łkania. Służebne cicho krążyły dokoła niej, przygotowując znów uroczysty strój. Dziś bowiem, jako dnia następnego po koronacji, należało, wedle starożytnego zwyczaju, objechać miasto i na rynku przyjąć hołd rajców i mieszczan.

— Jakże cudnie ci, pani, w tym stroju? Jakaś ty piękna? — wyrywa się mimowoli z ust piastunki Elżbiety. Spojrzała Jadwiga na swą zacną powiernicę, chwilę zadumała się i rzecze:

— Niczem jest piękność bez cnoty i zasługi duchowej? — zamilkła, zastanawiając się głębiej nad własnemi słowami. To prawda, nie poskąpił jej Pan Bóg wdzięków ciała, nie poskąpił jej zaszczytów i łask wszelakich. Wszystko to otrzymała za darmo bez żadnej zasługi i wysiłku. Czyż więc nie nadchodzi czas próby i odpłaty za te dary, tak hojne i wspaniałe? Czoło przecięła brózda myśli i frasunku. Jakiejże żądasz odemnie Panie zapłaty? Zali wyrzec się mam wszystkiego, co mi drogie?

Lecz nie czas był na te subtelne rozmyślania. Zgromadzony dwór nagli do wyjścia. Siada więc Jadwiga do pozłocistej karety i jedzie na miasto. Wzrok jej błądzi ciekawie po murach, po wieżycach kościelnych, przyglądając się, badając, zapamiętując. Pan krakowski, co obok jedzie na koniu, przykrytym kosztownym, wyszywanym czaprakiem, udziela objaśnień. Oto kościół św. Marcina, tu opodal św. Andrzeja.

— A te naprzeciw siebie?

— Jeden franciszkanów bosych, a drugi dominikański, zwany „Pawłów".

Wjechano w Grodzką, która rzeczywiście była piękną ulicą, jakkolwiek może niezbyt szeroka, obyczajem miast średniowiecznych, tem niemniej otoczona wspaniałemi budowlami. Po chwili znaleźli się na rynku.

Po lewej ręce wita królową kościółek św. Wojciecha, ubożuchny, ale przecież dumny ze swego pierwszeństwa w murach tego grodu. Na prawo piętrzy się wspaniała gotycka świątynia, panująca nietylko nad rynkiem, ale i nad całą okolicą swemi wyniosłemi wieżami. To kościół Marjacki, chluba średniowiecznego Krakowa.

Objechano rynek dokoła. Oczy królowej przykuły dwie pyszne mieszczańskie kamienice „pod Baranami" i siedziba Wierzynków.

Pośrodku, usiłując dorównać wieżom marjackim, pięła się w górę mocarna wieżyca ratuszowa, czuwająć jakby nad rynkiem i nad miastem. Nieco z boku ciągnęły się sukiennice, znacznie rozbudowane za czasów Kazimierza Wielkiego. Pod ścianą ratusza ustawiono podwyższenie, na niem tron. Zasiadła na nim królowa, by hołd odebrać.

Ku tronowi podchodzi burmistrz miasta i 24 rajców, zwanych z łacińska konsulami. Piękne mają na sobie suknie powłóczyste, bogato strojne futrem bobrowem lub lisiem. Pochylają się przed królową a burmistrz rzecze:

— Z hołdem tobie powinnym przybywamy, pani miłościwa, panuj nam i rządź nami.

Dalej idzie jedenastu ławników miejskich z wójtem na czele. Wszyscy chylą czoła, ślubują i składają dary różne u stóp królowej.

Królowa dziękuje, uśmiecha się, ręką dank czyni.

Wreszcie wystąpiły cechy krakowskie ze sztandarami i odznakami. Idą szewcy, krawcy, kowale, murarze, idą kotlarze i garncarze. Idą pewnie, boć przecież i oni znaczą coś w mieście. Im powierzono obronę murów miasta. Każdy cech miał bowiem na murach swą własną basztę i łożył na potrzeby obrony.

Znów pochylają się głowy i chorągwie, znów sypią się dary.

Wreszcie wstała królowa i wystąpiła naprzód:

— Panowie, rajcy i ty ludu krakowski, ślubuję oto w imię Jezusa Chrystusa zachować prawa wasze i przywileje, nadane dawniej przez królów. Tak mi Panie Boże dopomóż.

— Królowa Jadwiga niech nam żyje! — rzuca hasło burmistrz, a cały rynek wybucha potężnym okrzykiem, który triumfalnie bije w niebo.

Uroczystość skończona. Królowa wsiada do karocy. Droga powrotna znów wiedzie koło kościoła Marjackiego. Znagła rumor czyni się jakiś w tłumie. Gromada niewiast zastępuje drogę pojazdowi.

— Z drogi! — woła pan krakowski.

— Co się stało? — pyta królowa i unosi się na siedzeniu, by spojrzeć przed się.

— Miłościwa pani, prosimy o łaskę! Racz przyjąć od nas dar ten skromny — mówi Jagnieszka, znana na rynku kupcowa.

— Zatrzymać się! — woła Jadwiga. — Do karocy zbliża się tymczasem grono mieszczek, niosąc na wyciągniętych rękach wspaniały kołacz-olbrzym. W tajemnicy przed wszystkimi upiekły go poczciwe niewiasty. Trza było nawet poszerzyć otwór do pieca u Jagnieszki. W środku kołacza tkwiły najpiękniejsze bakalje, owoce z zamorskich krajów, na wierzchu pięknie wyrobione z ciasta i pomalowane kwiaty niezwykłe. Cały kołacz rozsiewał dokoła ponętną, łakomą woń świeżo upieczonego ciasta i smażonych owoców.

— Smakowicie pachnie! — powiada z uśmiechem królowa.

— Racz pani spróbować — rzecze Jagnieszka.

— Chyba wysiądę — mówi Jadwiga, szczerze uradowana tą niespodzianką.

— Królowo! — mityguje ją kasztelan krakowski, nierad z tego nieprzewidzianego intermedjum, nie bardzo wyrozumiały na te babskie popisy.

— Królowa chce! — odpowiada Jadwiga z lekko ściągniętą brwią, wciąż jednak z uśmiechem na ustach. I wy, panie, spróbujcie tego kołacza — rzuca przebiegle. Nieprawdaż?

Pan krakowski pochyla tylko głowę. Z każdą chwilą nabiera coraz więcej szacunku dla stanowczości młodocianej monarchini.

Królowa wysiada z powozu. Podchodzi do nie-

wiast, podaje rękę do pocałowania. Przygląda się misternemu wykonaniu kołacza.

— Pięknieście to zrobiły — mówi z uznaniem.

— Spróbuj miłościwa pani: spróbuj!

— Dobrze. Wprzódy jednak wnieście go do kościoła. Poprośmy Boga o błogosławieństwo.

Niosą niewiasty kołacz do pobliskiego kościoła Marjackiego. Otwarły się ciężkie podwoje na powitanie orszaku. Królowa pobożnie, ale i z ciekawością rozgląda się po olbrzymiem wnętrzu świątyni. Ksiądz Wysz, który znalazł się w pobliżu, odmawia tymczasem krótką benedykcję i przyniesionem z zakrystji kropidłem święci wspaniałe ciasto.

Wynoszą kołacz z kościoła. Pani Jagnieszka dobywa noża, na wszelki wypadek zabranego, i podając go królowej, rzecze:

— Miłościwa pani uczyń tę łaskę i spróbuj.

— Żal takie śliczności popsować — powiada Jadwiga, ale ślinka jej ciecze, przedziwny zapach ciasta kusi podniebienie. Odcina więc sobie kawałek z brzega, — proszę naśladujcie mię panowie i panie, podzielcie się ze mną tem ciastem, jako ja dzielić się będę z wami mem życiem.

W mig rozebrano kołacz po kawałku.

— Smakowite ciasto — chwali Jadwiga. Dziękuję wam za poczciwe serca. Schowam sobie ten ułomek na pamiątkę. Inni naśladują ją, każdy wkłada do kieszeni okruch jakiś.

Niewiasty odstępują na boki. Królowa ogląda zbliska mury marjackie.

— A tu kto pod pręgierzem stoi?

Istotnie pod murem okuty w łańcuchy, w łachmanach, unurzany w błocie, któremi go gawiedź zelżyła, z głową opuszczoną stał człowiek jakiś, nie, raczej cień człowieka, widmo ludzkie, bezkształtne, zwisające na łańcuchach.

— To zbrodzień straszny — odparł kasztelan krakowski.

— Czemże zawinił? — pyta królowa.

— Mówią, żonobójca! Żonę z gachem naszedł i zabił ją w szale zemsty.

— Człowieku, czemuś to uczynił? — pyta Jadwiga i zbliża się nieco ku nieszczęśnikowi, a za nią tłum, zaciekawiony tem, co się stanie.

Powoli unosi się ciążąca ku ziemi głowa i spod starganych, zmierzwionych włosów, co przysłaniają szczerniałą, zbiedzoną twarz wyjrzały błędne, szeroko rozwarte oczy. Nieszczęsny zaczął wpatrywać się w cudne zjawisko, które przed nim stanęło.

— Kto mię pyta?

— Królowa cię wzywa — pośpiesza wyjaśnić kasztelan.

— Królowa? Królowa, mówią, że dobra.

— Powiedz mi, czemuś to uczynił? — pyta ponownie królowa.

— Zdradzała mię — odpowiada głucho.

— Nie żywiła ku tobie miłości? — pyta dalej królowa.

— Poślubiłem ją. Wierność mi przysięgła.

— Innego kochała?

— Podła, mnie pustem słowem, tamtemu, swemu pierwszemu, miłością świadczyła.

— Wiedziałeś, że innego kocha, gdyś ją brał za żonę?

— Wiedziałem.

— Głupcze, więc jąś dwakroć zabił, raz na duchu, drugi raz na ciele.

— O ja nieszczęsny! Lecz miłowałem ją, miłowałem bez pamięci.

— Zła to miłość, co zabija. Żałujesz swej zbrodni? — mówi smutnie królowa.

— Żałuję, och jakże żałuję, niechby już żyła, chociaż nie moja — łka szaleniec.

— Tedy w ten dzień koronacyjny łaskę ci uczynię, winę podaruję. Wolny jesteś, abyś pamiętał, że miłość wolna jest i przymuszać do niej nielża.

Znagła przypomina się Jadwidze dzień wczorajszy a fala gniewu i buntu podsuwa się jej aż do gardła, dławi i dusi, chce chlusnąć i bluznąć nazewnątrz.

— Biada tym, co niewinne prześladują i do miłości niewolą. Azaliście mię wczoraj pod pręgierz nie postawili? — rzuca głosem pełnym oburzenia.

— O czem to mówisz, miłościwa pani? — strapił się kasztelan Dobiesław, któremu ani w głowie było pamiętać wczorajsze zajście. Przecież to dziecię-królowa nie mogło zbyt poważnie wziąć całej sprawy. I omylił się, jak początkowo myliło się wielu w ocenie wartości charakteru królowej.

— Widzę zdołaliście już zapomnieć oną zniewagę, jakiej dopuszczono się na uczcie — powiada królowa. Ale ja dobrze pamiętam. I potrafię wysnuć z tego wnioski. Przyjmuję uczynione mi wyzwanie. Pomówimy o tem na radzie koronnej.

— Jeszcze nie wyznaczono jej czasu.

— Dobrze, w takim razie zwołuję radę dziś na poobiedzie.

— Ależ królowo. Zbyt nagły to terminus. Trudno będzie zwołać wszystkich.

— Wojewoda raczy chyba żartować. Przecież wszyscy są jeszcze w Krakowie. Toć widzę ich tu prawie w mym orszaku. I właśnie dlatego zwołuję, póki są.

— Dobrze, w takim razie o czem mamy obradować i postanawiać? Nie da się przecież ułożyć tak od ręki porządku obrad.

— Poco kluczycie, mości kasztelanie, toć przecie dobrze wam wiadomo, gwoli jakiej sprawy wzywam dziś radę. Pomówimy o mem małżeństwie. Zakomunikuję panom mą wolę.

— Królowo, ta sprawa tak nie nagli! Naród się cieszy, że ma królową, o królewskim małżonku nie myśli zgoła.

— Wielce łaskaw jest naród mój, więcej może niż wy panowie wczora — ironizuje królowa. Ale nie skorzystam natedy z tej łaski.

— Królowo, więc to nieodwołalna twa wola?

— Król nie będzie dwa razy powtarzał swych rozkazów — rzekła poważnie Jadwiga — kładąc nacisk na słowo król. Nie nadrywajcie panie włosa cierpliwości, na którym wisi miecz mego gniewu.

Wojewoda spojrzał zdumiony na Jadwigę. Biła z jej twarzy taka powaga, zdecydowanie i moc, że zamilkł stropiony i, pochyliwszy kornie głowę, rzekł tylko:

— Stanie wam się zadość!

Wieść, że królowa zwołała radę, zaskoczyła panów. Nie oczekiwali takiego zdecydowania u młodocianej monarchini. Widać nie rozumieli, że podnietą, która Jadwigę poruszyła, była miłość do Wilhelma. Jej zagrożenie wyciskało jej łzy przez całą noc, a teraz serce ścięte lodem pierwszego bólu, podżegało ją do zdecydowanego wystąpienia.

Wolę Jadwigi zaniesiono przedewszystkiem Jaśkowi z Tęczyna. Ten skinął tylko głową i powiedział: — Dobrze. Tak być musi.

O DOBREM WYCHOWANIU

Niniejsze uwagi nie mają nic wspólnego z podręcznikami „savoir vivre'u" albo „jak się znaleźć w dobrem towarzystwie", które zawierały przeważnie stek niedorzecznych pseudo-przepisów, jak się kłaniać starszym paniom, a jak młodszym, ile guzików mieć przy kamizelce i wiele razy zapukać przed wejściem do pokoju głuchoniemego. Te przepisy nie miały oczywiście nic z „umiejętności życia", lecz były zawsze wyśmiewane w dobrych towarzystwach.

Eleganckich manier trudno nauczyć dorosłych ludzi, albo wcale nie można. Komu nie dano dobrej tresury do lat siedmiu, a kto pozatem nie ma zmysłu taktu, temu żaden podręcznik nie pomoże.

Ale nam chodzi zupełnie o co innego. Chcemy się przyczynić nieco do poprawienia niektórych naszych obyczajów przez wskazanie na spotykane często ordynarności, przez zwrócenie uwagi na wielką rozkosz, jaką się osiąga w życiu codziennem, gdy się ma styczność z ludźmi nie koniecznie eleganckimi, ale poprostu dobrze wychowanymi, stosującymi w obejściu trochę delikatności, wypływającej choćby z poczucia prawdy — „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie".

Szczególniej właśnie dziś, gdy, dzięki zupełnemu po wojnie zwycięstwu demokratyczności, wszystkie warstwy społeczne już tak się przetasowały, że wszyscy stykają się z wszystkimi na całej linji życia socjalnego — od polityki do sportu, od kościoła do tramwaju, od zamku królewskiego do sali wiecowej i od gabinetu uczonego do sklepiku spożywczego, — jest rzeczą konieczną, byśmy w tej Polsce odrodzonej zwrócili przecież pewną uwagę na formy współżycia i współbytu.

Szczególnie jest to gwałtowną potrzebą w Polsce, gdzie nie wytworzył się typ analogiczny do angielskiego dżentelmena, o którym ma się w Polsce, ogólnie biorąc, pojęcie dość opaczne. Przeciętny człowiek z ulicy wyobraża sobie, że dżentelmenem nazywa się osobnika wyszukanie ubranego i przesadnego w formach uprzejmości. Jakże dalekim jest od istoty rzeczy taki obraz! Angielski typ dżentelmena jest przedewszystkiem ideałem pewnych cech moralnych, a potem dopiero form zewnętrznych. Więc dżentelmen — to przedewszystkiem ten, który nie kłamie, który dotrzymuje święcie słowa, który nie poniży słabszego, nie zawiedzie nigdy zaufania, idzie drogą prostą, nie pozwoli sobie na obmowę, nie jest intrygantem, jest wiernym w przyjaźni, lojalnym i t. d. A dopiero potem dżentelmen — to taki jegomość, który jest zawsze właściwie ubrany, uprzejmy dla wszystkich, opanowany w ruchach, spokojny w mowie i t. d. i t. d.

Na wychowanie takiego typu muszą się złożyć pokolenia, muszą taki ideał wypielęgnować przedewszystkiem kobiety, to znaczy matki, muszą one nauczyć się wychowywać na dżentelmena dziecko od niemowlęcia niemal. To długa historja.

Tymczasem musimy się zadowolić tem, byśmy wśród naszej młodzieży dorosłej zaszczepili pewne zasady miłego współżycia.

Dobra forma jest tyleż warta co dobra treść. Treść i forma poszukują się wzajemnie, są od siebie zależne, ale — czasem się znajdują, czasem — nie. Gdy się znajdą, tworzy się styl. Gdy sobie przeczą, szkodzą sobie wzajemnie i przykro rażą. Stylem jest bowiem harmonja treści i formy. Dysharmonja — jest przykrym bezładem.

Figlarz fortepianowy mógłby zagrać marsza żałobnego Szopena w takcie mazura albo rumby. Ale cóżby to było! Byłby to skandal i rzecz przykra. Równie okropnym będzie gmach teatru operetkowego w stylu gotyckiego kościoła. Patetyczna tragedja usiana kabaretowemi dowcipami przyprawiłaby nas o mdłości. A wszystko — z powodu rozłamu pomiędzy formą a treścią.

Tak samo okropnym jest człowiek o wysokiej kulturze umysłowej i moralnej, dłubiący palcem w nosie, lekarz, który ma brudne paznokcie, urzędniczka, opryskliwie załatwiająca interesenta, elegancko ubrana dama, zachowująca się impertynencko względem umęczonego sprzedawcy w sklepie, lub szykowny pan, zaczepiający na ulicy pensjonarkę.

To są chamstwa, od których wprawdzie narody nie giną, ale które uprzykrzają życie codzienne i wytwarzają atmosferę niesympatyczną.

Pomieszanie elegancji z ordynarnością jest właśnie brakiem stylu ładu, porządku. Ideałem chama będzie niechlujny bolszewik, wypluwający w cerkwi ziarnka słonecznika. Tu forma jest zgodna z treścią. Ten cham jest stylowy. Chamska dusza i chamskie obyczaje. I to jest beznadziejne. Ale chwała Bogu u nas takich ideałów niema. Brak stylu!... U nas spotyka się zazwyczaj właśnie pomieszanie ordynarności z dobrym obyczajem i dlatego rzecz jest do naprawienia, do wyprostowania. U nas łatwiej jest dojść do porządku, do stylu w kierunku dodatnim.

Miałoby to doniosłe znaczenie społeczne. Wiadomo bowiem, że nadanie czemuś formy, powoduje często zmianę treści. Forma może sugestjonować treść. Znanym jest np. fakt, że najzdolniejszy nawet aktor, mający grać — powiedzmy — króla Leara, nie zagra roli dobrze w dekoracjach z „Panny Maliczewskiej" i w kostjumie Pajaca. Gdy aktor ma właściwą dekorację i właściwie ucharakteryzowany stanie przed lustrem w swojej garderobie, przybywa mu 50 proc. łatwości psychicznej odtwarzania roli. Mussolini przemawiający do tłumu z balkonu jest w formie. Gdyby przemawiał, stojąc na ulicy, do ludzi wyglądających z okien i balkonów, mówiąc to samo, byłby śmieszny.

Właściwa forma zdolna jest sama przez się zmienić najistotniejszą treść. Tak np., spółdzielcza, kooperatywna forma przedsiębiorstw handlowych czy przemysłowych ma kolosalny wpływ na kształtowanie instynktów społecznych obywateli w kierunku solidaryzmu.

Można bez końca mnożyć przykłady dobroczynnego wpływu formy na treść.

Dbajmy więc o formy.

Choć na wszystkich poziomach życia towarzyskiego spotyka się zarówno ludzi dobrze wychowanych jak gburów, to jednak naogół t. zw. elegancja idzie z najwyższych sfer kulturalnych i jest właśnie formą ludzi eleganckich. Jest określenie bardzo niedostateczne, ale bardzo prawdziwe. Ta dobra forma uprzyjemnia życie i zasłania braki. Już Metternich mawiał: „Łatwiej mi znieść w mundurze ambasadorskim osła, niż człowieka źle wychowanego".

Nam chodzi o to, by uzależnić treść od formy, a formę od treści i by ułatwić szaremu człowiekowi uporządkowanie jego form i treści w pewien ład korzystny, przyjemny i — ładny.

Formy dobrego wychowania lub złego zaważyły nie raz już na losach człowieka, na szczęściu małżeństw, rodzin.

To nie jest tak bagatelne, jakby się zdawało.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jakże miłym jest człowiek, który — wstawszy rano, pomimo nawet zgryzot, kłopotów, niepowodzeń, — ma uśmiech dla domowników i dobre słowo.

Są tacy, którzy zaczynają od „psiakrew" albo i gorzej w stosunku do służby, dzieci i żony.



Neapol w iluminacji wieczornej.

Już z tem słownictwem jest w Polsce bardzo źle. Są ludzie inteligentni, nawet z tak zwanych „dobrych domów”, którzy nie potrafią dwóch zdań zamienić bez „cholery”. Znany jest wypadek pewnego cudzoziemca, który po paru dniach pobytu w Warszawie, wyjechał z niej coprędzej, przekonany, że w mieście panuje epidemja, o czem wnosił z tego, że ciągle słyszał koło siebie nazwę tej choroby. Był więc pewny, że skoro wszyscy o tem mówią, musi być już bardzo źle.

Na ulicy uszy nieraz więdną od słyszanych rozmów. Szedłem raz sam ulicą bezludną. Kroczyło za mną dwóch półinteligentów. Jeden drugiemu opowiadał jakąś bardzo zwykłą historję. Ale, co drugi wyraz, następował taki epitet, a coraz to inny, że po paru chwilach przymusowego słuchania musiałem przejść na drugą stronę, bo niepodobieństwem było dłużej znosić takie wrażenia słuchowe.

A tymczasem to nie są żarty. Przekleństwa — to nietylko śmietnik językowy. To nietylko brzydota i ordynarność. To jest coś znacznie poważniejszego.

Słowo bowiem nie ulatuje, jak się zwykle o niem mówi. Słowo jest, zostaje. Bo nic na świecie nie ginie. Dziś wiemy już to naukowo, że tak jest, bo skoro nic nie ginie, to i słowo wypowiedziane nie ginie. Wiemy, że słowa trwają w powietrzu, czy na falach eteru. I to nietylko w chwili wypowiadania, ale zawsze. Już dziś uczeni są na drodze chwytania dźwięków ubiegłych. Nie jest wyłączone z możliwości chwytanie dźwięków przeszłości, nawet dalekiej. Może przyjdzie czas, że złapiemy na właściwy aparat komendę Napoleona pod Austerlitz.

Są liczne na to dowody, że dźwięki trwają wiekami, powtarzają się i dają się słyszeć nawet w zasięgu naszego przyrodzonego aparatu słuchowego. Znane są zjawiska niesłusznie tak zwanych „duchów” w różnych, jeszcze niesłuszniej zwanych, „zaczarowanych” budynkach, zamkach, pałacach, dworach i zwykłych kamienicach, kiedy w pewnych godzinach i pewnych warunkach słychać jęki, krzyki, kroki, uderzenia, często nawet słowa i przekleństwa, bez żadnych przyczyn doświadczalnych. Są to oczywiście odgłosy zdarzeń dźwiękowych dawnych.

Powtarzane słowo staje się ciałem. Nagromadzenie słów ohydnych stwarza koło człowieka atmosferę sił złych, duchów obskurnych, przeznaczeń fatalnych, czynników niemal chorobliwych, promieniowania przekleństwa.

Nie mogę oczywiście poprzeć tego co mówię żadną statystyką. Ale, długoletnia obserwacja losów ludzi uczy mnie, że klnący, stale — kończą źle.

Człowiek dobrze wychowany nigdy nie klnie. Bo niby co to znaczy wyrzucić z siebie szereg słów bez sensu, plugawych, nic nie oznaczających, albo oznaczających choroby lub zwyrodnienia! Do czego to ma służyć, co ma wyrażać! Nie jest to nic innego jak małpie naśladowanie moralnych brudasów, w najlepszym razie umysły zautomatyzowane, języki nieopanowane, powtarzające jak papuga głupstwa bez treści.

Przekleństwa mszczą się fatalnie na człowieku.

Higjena słowa, ład słowa — to pierwsze atrybuty ludzi dobrze wychowanych.

Dr. G. O.

Z ZACHĘTY

W Zachęcie mamy ciekawą wystawę Związku Graficznego. Niewątpliwie — co już nieraz podkreślaliśmy — grafika jest jedną z najtęższych pozycyj naszej sztuki. Fakt ten trwa nadal. Na wystawie mamy interesujące fantazje Siedleckiego, mocną, dosadną czarnobiałą fakturę Szwarca, czasami w drzewach przypominającą Wyczółkowskiego, dobre podpatrzenia i nieomylną technikę T. Cieślejskiego, Tyrowicza, Golińskiej i innych. Jasiński kolorysta — impresjonista, pełen pomysłów fantastycznych, baśniowości, poetyckiego zapatrzenia został sprezentowany w ogólnym pośmiertnym dorobku. Artysta zna wartość i technikę kształtu i koloru, rozumie znaczenie faktury i tematu. Toteż, cokolwiek da się powiedzieć o jego pomysłach, nie można przejść koło nich obojętnie. A taka „Śmierć matki", malowana zresztą starą szkołą pozostanie na zawsze jako przykład szczęśliwego genjalnego zespolenia faktury z tematem.

Z TEATRU

W teatrach warszawskich czuć już wiosnę. Repertuar słabnie. Zaprezentowano nam parę sztuk mniej ważnych. Taka „Ucieczka" Galsworthyego przedstawia ważny problem, ale w sposób trochę naciągnięty. Oczywiście wszyscy odczuwamy gniot oficjalnej sprawiedliwości, która, nie wdając się w ocenę pobudek, karze bezwzględnie za czyn, godzący w kodeks. Rozumiemy, że dżentelmen angielski, który popełnił zabójstwo z przypadku nie jest równy zawodowemu mordercy. Za tem swego rodzaju nieporozumieniem jest surowy wymiar kary, który go spotkał. Z drugiej jednak strony — maszyna społeczna musi zgniatać każde nieopatrzne ziarnko piasku, które wdało się w jej tryby. Skazany dżentelmen usiłuje się przemknąć pomiędzy temi bezlitosnemi trybami, ucieka więc z więzienia, znajdując w tem poparcie u uczuciowych kobiet i stając się pastwą tropicielskich instynktów mężczyzn. Konflikt powstał jedynie w umyśle anglikańskiego pastora, który chciałby uciekinierowi dopomóc, a jednocześnie nie uchybić swemu sumieniu. Uciekinier rozwiązuje ten dylemat po dżentelmeńsku, sam się oddając w ręce sprawiedliwości. Grzymała-Siedlecki, omawiając konflikt sztuki i sentymentalne jego refleksy, czyni przeciw odruchom sympatji tego rodzaju zastrzeżenie, że przecież każdy z nas, gdyby mu skradziono np. cenny rękopis, pierwszy zawiadomi policję. Ten chwyt cenionego krytyka nie jest fair play. Bohater ucieczki, jak się rzekło, nie jest zwykłym rzezimieszkiem, a jakkolwiek sprawiedliwość karząca jest dla wszystkich, ale nie dla wszystkich powinny być jednakowe metody jej wymiaru.

Galsworthy rozwiązał zresztą całe zagadnienie, każąc uciekinierowi przełamać się i poddać karzącej machinie sprawiedliwości. W sumieniu ludzkiem jest najważniejszy jej probierz.

Wcale ciekawe zagadnienie porusza sztuka „Janka". Jej problem obraca się dokoła niespełnionego macierzyństwa. Na skutek zabiegu przeciwpoczęciowego młoda kobieta raz na zawsze zostaje pozbawiona możności wydania potomka. W jej życiu powstaje wielka pustka, która wzrasta wraz ze zbliżającą się starością. Niewyżyty instynkt macierzyński, niewyeksploatowane pokłady czułości, poświęcenia, troskliwości fermentują i zatruwają życie obojga bezpłodnych małżonków. Zmarnowanego w kierunku rodzicielskim życia nie są w stanie wynagrodzić ani bogactwo, ani powodzenie. Życie uległo skarykaturowaniu. Pokazał to również Kisielewski w swych „Karykaturach". Mamy tu do czynienia ze środowiskiem mieszczańskiem, w które wchodzi literat. Dziś, po latach, proporcje się odwróciły i widzimy, dopiero jasno, kto jest najbardziej karykaturalny.

Doskonałe studjum zazdrości daje „Mazepa" wystawiony na 35-lecie działalności scenicznej Karola Adwentowicza, po mistrzowsku kreującego w sztuce rolę wojewody. Straszliwa ta pasja, węsząca przytem na fałszywym tropie, jak to często bywa, znalazła w Słowackim doskonałego monografistę, a w zespole teatru Kameralnego świetnych wykonawców.

„Kaligula" Rostworowskiego wystawiony z wielkim pietyzmem w teatrze Polskim, jest niewątpliwie jednem z najtęższych dzieł polskiego dramatu. Ten tyran ironista, mianujący konie senatorami i marzący, by ludzkość miała jeden łeb, aby łatwiej było go ściąć, nabrał przedziwnych rumieńców aktualności. Kreacja Junoszy-Stępowskiego była nowym triumfem tego artysty, triumfem wogóle aktorstwa polskiego, jakkolwiek pierwsze wystawienie sztuki z przed lat siedemnastu miało jedną z najlepszych obsad. Porównywując w pamięci oba te przedstawienia, musimy dojść do wniosku, że znacznie się pogłębiła perspektywa artystyczna i aktorska wykonania arcydzieła. **cki.**

WIECZÓR PROZY

Klub literacki S urządził „wieczór prozy", który wypełniło odczytanie utworów pp. Otfinowskiego, Kota, Chudka, Pietrzaka, Łaszowskiego. Autorzy z wyjątkiem p. Chudka dali nam fragmenty albo większych całości, albo t. zw. impresje. Zaledwie w „Trzech papierosach" Otfinowskiego doszukać się można było pewnej struktury nowelistycznej. Jedynie zaś Bajka p. Chudka miała wyraźną tematykę i określoną, logicznie rozwiniętą budowę.

W ten sposób całość wieczoru można uważać jako próbkę stylu kilku młodych pisarzy. Cztery z nich, jak to sklasyfikował przewodniczący wieczoru, należą do jednej szkoły pisarskiej, która uważa, że życie jest sumą procesów psychologicznych, że przez człowieka przebiega prąd doznań, że opływają go chaotycznie zdarzenia; obowiązkiem pisarza jest je notować, a nie porządkować i wartościować. Młodzi autorzy nie biorą tego zbyt dosłownie, gdyż nie wyzbyli się np. upodobania do frazeologji. Posługują się także metaforą i to bardzo wyrafinowaną. A każda metafora jest właściwie wartościowaniem. Nawet mała metafora.

Można nawet powiedzieć, że te strony formalne dominują nad całością ich utworów. U Otfinowskiego obserwujemy największy umiar i opanowanie stylu jako narzędzia wyrażenia czy raczej określenia pewnego tematu. Dola głodującego fordansera przedstawiona jest dość przekonywująco z ekspresją prawie akurat pasującą do środowiska i możliwości psychologicznych bohatera utworu. Dziwaczny jest jego uraz, streszczający się w tem, że uważa on za zniewagę włożenie pieniędzy do kieszonki, w której leżą pieniądze od ukochanej... Rozprowadzenie tego motywu zajmuje zadużo miejsca w noweli. Uraz na kolor żółty stanowi osnowę utworu Kota p. t. „Kolor tego wieczoru". Rzecz zastanawiająca, to brak wyciągnięcia, że tak powiem perspektyw symbolicznych z tego koloru (kolor żółty = zazdrość). Autor jest może najbardziej rzeczowym wyrazicielem poglądu, że pisarz jest protokulantem pewnych przebiegów psychicznych.

Bajka p. Chudka ma wzór klasyczny, niemniej jednak w stylistycznych swych chwytach, w obrazowaniu zwłaszcza, w paralelach i metaforach jest bardzo nowoczesna, czego niedocenili właśnie klubowi koledzy autora, dając się unieść pozorom nazwy rodzaju literackiego. Wippchen — dowcip aluzyjny, nawskroś literacki, sztuczny stanowi cechę utworu p. Pietrzaka. W frazeologji autora dostrzec można dwie sprzeczne tendencje: traktowania monumentalnego, rysowania kształtem (kubistyczny, ekspresjonistycznie wyolbrzymiony „portret" żydówki) obok malowania plamą. Ostatecznie plama zwycięża, jako koncepcja utworu. Wątek bardzo nikły akcji zamazuje się zupełnie w niewyraźnem, mało przekonywującem zakończeniu. Zupełne rozwichrzenie frazeologiczne jest cechą Łaszowskiego. W jego utworach, wbrew jednemu z dyskutantów, nie dostrzegamy humoru, lecz tylko dowcip, w tym samym gatunku kalamburycznym, jak u Pietrzaka. Wbrew wszelkim pozorom u Łaszowskiego nic się nie dzieje, ani śladu fabuły, problemu. Założenie utworu, które ex cathedra słuchaczom wyjaśnił sam autor, w kierunku przeprowadzenia analizy stanów uczuciowych u osoby podejrzewanej, wcale nie przeprowadzone, nawet nie zamarkowane.

Na tym utworze najlepiej widać całą bezsilność owej „szkoły pisarskiej", która wyzbyła się lekkomyślnie fabuły i ekspresji dramatycznej. Mimo intensywności przepływu owych fal psychicznych nie zarysowują się żadne napięcia, konflikty. Całe wyszukanie i pirotechnika stylistyczna kończą się na kilku nieszkodliwych racach, robiących dużo swędu a mało szkody. Wszystko jest zamazane, ani śladu charakterystyki, wszystko tonie w oparze neobarokowej frazeologji.

Oparcie całego kunsztu pisarskiego na zaufaniu do omnipotencji homonimu czy synonimu, jest zwężeniem możliwości twórczych, jest wyeliminowaniem z literatury szeregu czynników, bez których staje się ona mniej wartościową.

f. n. cki.

ZRZESZENIE BELETRYSTÓW

Zrzeszenie urządziło w maju wieczór recytacyj. Poezje Smolarskiego oraz fragment powieści Rusinka recytowała p. Zofja Janczewska, doskonale uwydatniając wartości obu autorów przez opanowaną, a przecież pełną dynamiki i ekspresji formę. Dobrze w autoczytaniu wypadł fragment „Smuszków" Kossowskiego, świetnie rysujący psychologję uczniaków. Jako przykład złej recytacji, afektowanej, opartej na przesadnej egzaltacji i mutacji głosu przytoczyć można recytację utworu Stelli Olgierd. Wskutek tego niepośledni walory tego fragmentu zginęły całkowicie dla uwagi słuchaczy.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Dobrze to jest, że doświadczamy niekiedy przykrości i przeciwności; albowiem one częstokroć budzą serce w człowieku, przypominając mu, że jest na wygnaniu i że przeto niema pokładać nadziei w żadnej rzeczy tego świata.

Dobrze to jest, że spotykamy czasem przeciwników i że źle i opacznie sądzeni bywamy, wtedy nawet kiedy dobrze czynimy i kiedy mamy najlepsze chęci; albowiem to nas częstokroć pobudza do pokory, a broni od próżnej chwały.

Wtedy także lepiej szukamy Boga, wewnętrznego świadka naszego, kiedy zewnątrz ludzie nas lekceważą i wierzyć nam niechcą.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

O ŚLICZNEJ KSIĄŻCE I O DZIELNEJ KOBIECIE-MARYNARCE

Posłanka nasza i nasza chluba, p. Zofja Zaleska, redaktorka „Kroniki Kobiecej" w „Kurjerze Warszawskim" i stała jego współpracowniczka, pisze zawsze takie artykuły, które w całości chciałoby się przedrukować. Tak są żywe, tak z tętnem życia bieżącego związane, tyle w nich drgań i rozumu i serca kobiecego, że dość spojrzeć na literki: Z. Z., żeby już nie opuścić wiersza, który tyle interesującej przynosi treści.

Między innemi p. Zaleska ostatnio pisała o Francuzce, p. Wirginji Heriot, i o jej książce, przytaczając słowa dzielnej kobiety, które brzmią jak następuje:

„Oto czego pragnę dokonać:

Skierować młodzież Francji, żądną przygód i ryzyka, ku temu morzu, które jest wspaniałą szkołą woli i energji.

Zaciągać i szkolić dobre załogi, których nasza flota potrzebuje.

Stworzyć na korzyść marynarki francuskiej ruch, który nie ustanie, bo morze nieskończone.

Uczynić z Francji kraj żeglarski, jakim ona nie jest".

Pisze to kobieta, kobieta — która z życia swego stworzyła pełny wspaniały hymn miłości ojczyzny i jeszcze po śmierci umie budzić w ludziach te uczucia, jakie kierowały jej życiem.

Wirginja Hériot — kapitan marynarki francuskiej, oficer Legji honorowej, zwycięzca w żeglarskich zawodach na olimpjadzie, wykształcona, przepojona do głębi kulturą łacińską, sportsmenka i poetka jednocześnie, żeglująca pod hasłem „Honor i Ojczyzna" i codzień przy modlitwie zanosząc do św. Teresy prośbę: — „Wskaż mi, co mogę uczynić godnego na morzu dla Francji"?

Umarła — 28 sierpnia 1932 r. — niemal nagle, na serce. I dopiero czytając tę książkę, w której z całym pietyzmem zebrano jej notatki — jej „wrażenia i wspomnienia", — może człowiek obcy zrozumieć, że śmierć jej okryła żałobą całą marynarkę francuską".

Słusznie też zaleca p. Zaleska Lidze Morskiej i Kolonjalnej, aby się zajęła przetłumaczeniem książki, która może być wielką propagandą dla rozwoju umiłowań żeglarstwa. Oczywiście jeszcze u nas jest ono w kolebce, ale musi szybko dojrzewać, przynosząc te korzyści dla kraju — jakie wszędzie zapewnia morze, będące bez kresu w przestrzeni.

„Wisła płynie do morza, do wielkiego szlaku, na którym rzadko tylko pojawia się polska bandera — pisze pani Zaleska. Sport wioślarski to dopiero poznanie śródlądowych szlaków rzecznych, sport żeglarski — to już zaprawa do wyjścia na świat, na szerokie morze. I pewno słuszną jest deklaracja Wirginji Hériot, że w czasach dzisiejszych droga do rozwoju marynarki wiedzie przez rozwój sportu żeglarskiego. Trzeba wyjść na morze o własnych siłach, by rozkochać się w niem i wzbogacić ojczyznę jego bezmiarem wolnym.

Wychodzimy już i wyjdziemy niebawem jak przystało na wielką Rzeczpospolitą. Szkoła marynarska w Gdyni co rok wypuszcza szeregi marynarzy-zawodowców — a **„Spławy"**, organizowane przez Wydział Żeglugi Śródlądowej, na której czele stoi rozmiłowany w tym dziale generał St. Kwaśniewski, są rękojmią, że umiemy cenić skarby morza, do którego tymczasem tysiące kajaków bieży z pokłonem. Kiedyś staną nasi marynarze u steru wielkich okrętów, i na falach oceanu płynąć będą do własnych kolonij — aby pracę rozsypanych po cudzych lądach rodaków, skupiać i zamieniać na pomnożenie dobra państwa.

„Wrażenia i wspomnienia z morza" Wirginji Hériot — koniecznie trzeba przetłumaczyć i czytać.

L. K.

BIAŁE LASKI

Biała laska — to oznaka wiecznej nocy oczu tego, kto się nią na ulicy podpiera. Bolesny widok. Ale za wzruszeniem powinien iść natychmiast czyn. Tak się też dzieje, bo dobrych ludzi niebrak na świecie.

Piszemy o tem tylko dla przypomnienia, gdyby ktoś zapomniał o tej oznace, bo właśnie przed paru dniami, pisząca te słowa, nie zdążyła podbiec do staruszki z **białą laską**, która o mały włos nie przewróciła się, nie nadążając snać wyczuć macaniem laski brzegu trotuaru. Powinniśmy — na ulicy obok niewidomego z białą laską robić łańcuch i zdawać sobie opiekę nad nim koleją. Na odprowadzanie stałe i dłuższe nie każdy ma czas, ale ci, którzy z niewidomym idą w jednym kierunku, powinni, odprowadzając go do pewnej dla siebie możliwej odległości — powierzyć go innemu. Sobie zrobi się może pewną dywersję w czasie, ale ileż w to biedne kalectwo wniesie się radości, jeśli ono poczuje koło siebie **dobroć ludzką**. To cenniejsze nad czas nad pewną niewygodę, zwłaszcza, że we własnem sercu także zwróci się refleksję spełnienia obowiązku, — który się nazywa — ludzki.

Mrówka.

PAMIĘĆ O KOŚCIOŁACH NA KRESACH WSCHODNICH

Nieraz na łamach naszego pisma zachęcaliśmy Szanowne nasze Czytelniczki do pamięci o tych świątyniach, kościółkach, często małych kapliczkach przydrożnych, w których ubożuchne ściany, gromadzą dusze bogate wiarą i szczerą modlitwą śląće przed Boga, choć ołtarze biedne, ściany nagie, a sprzęt niedostateczny. I głowiliśmy się jak to zorganizować pomoc skuteczną, jak dotrzeć najpożyteczniej dla przesłania tej lub innej ofiary.

I oto w tej chwili dowiadujemy się, że ludzie dobrej woli już o tem pomyśleli. Że jest zgromadzenie pań, które zajmuje się nietylko gromadzeniem robót, darów w naturze, ofiar pieniężnych na dobro kościołów na Kresach Wschodnich przeznaczonych ale że o wszystkich tych kościołach i ich potrzebach doskonałe są informacje że żaden nie jest pominięty, że w miarę nadsyłania darów są one równomiernie rozsyłane, że, słowem, czujne a dobre oko, kierowane sercem i szlachetną inicjatywą, otacza to wszystko swą opieką. Że na Nowy Rok bywa zawsze sprawozdawcze zebranie, z którego stowarzyszone dowiadują się, co, gdzie i komu posłane i że ono stwierdza, co może zrobić, choćby drobna, ale zbiorowa praca i utrwala to w przekonaniu, jak wielka jest w jedności siła".

Przewodniczącą pań zgromadzenia jest p. Szczuczyna, a dyrektorem ks. Jan Lorek, superjor księży misjonarzy, proboszcz parafji św. Krzyża. Opiekunką zaś darów, które starannie zgromadza, segreguje, służy wszelkiemi informacjami w danym zakresie i kieruje ich przesyłaniem, jest p. Stefanja Krowczelumowa, mieszkająca przy ul. Foksal 16, gdzie wszystkich zainteresowanych kierować należy.

Lato się zbliża, każdy myśli o jakimś choćby krótkim wypoczynku. Igiełki, szydełka, druty będą w ruchu przy robotach ręcznych. Niechże niejedna z nich znajdzie przeznaczenie do ozdoby tych ubogich kościołów na Kresach Wschodnich, które nieraz o pomoc do nas się zwracają.

Te drobne ściegi, te ogniwka łańcuszków — to będą te nici, które zwiążą nas bratniemi uczuciami i, choć oddalonych przestrzenią — uczynią nas wszystkich bliskimi sobie przez pamięć naszą, której damy dowód w przesyłanych darach i przez wdzięczność tych, którzy dary te otrzymywać będą. Niechże ich nie zbraknie!

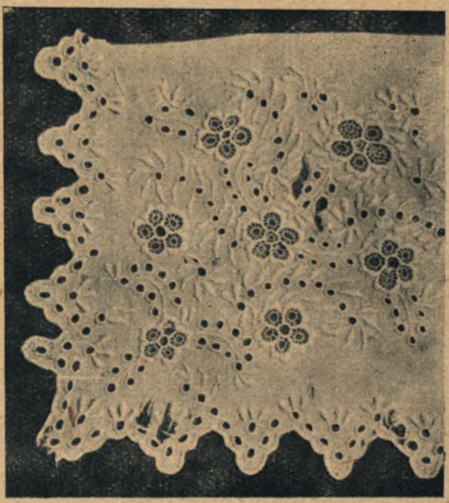
L. K.

HAFT BIAŁY

Technika haftu białego zwanego również „atłaskiem" należy do najstarszych i najbardziej artystycznych rodzajów wyszywania

Ażeby haft taki mógł nazwać się „atłaskowym" musi być wykonany tak gładko i pięknie, żeby lśnił jak atłas.

W początkach swych haft atłaskowy kładziony bywał wprost na tkaninie, sczasem jednak, gdy do Polski



zawitały ze Wschodu wzorzyste brokaty, gdy pojawiły się barokowe wypukłe ozdoby na szatach kościelnych i w rzeźbie, zaczęto wprowadzać ten rodzaj zdobnictwa również do haftu.

Układano w konturach wzoru strzępki nici, szmatki, korki, tekturę lub inne twarde podkładki, a z wierzchu przykrywano je białą nitką wszywaną tak gęsto jedna obok drugiej, by zakrywały zupełnie wnętrze podkładu.

Nie zawsze jednak taki wypukły haft oddawał wiernie to, co zamierzała hafciarka.

Wyobraźmy sobie naprzykład grono porzeczek lub winne grono, tak często używane wśród motywów krakowskich, w którem każda jagódka robiona jest na podkładzie z nici. Wskutek tego wygląda łudząco podobna do prawdziwej. Lecz równocześnie widzimy listki, które powinny być płaskie, by wyobrażały takie jak są w przyrodzie. Tymczasem niejednokrotnie wyszywa go wiejska hafciarka w taki sam sposób jak jagódkę, dając obfity podkład pod wierzchni haft.

Spróbujmy wykonać zamierzony wzór naturalistyczny w taki sposób, ażeby gronka, serduszka lub wywinięte płatki kwiatów wyhaftować na podkładzie, liście zaś wprost na tkaninie bez podkładu, zupełnie płasko.

Wskutek tego zyska haft na wyrazistości i harmonji.

Jeszcze na jedno musimy zwracać baczną uwagę, a to na szypułki kwiatów i żyłki na liściach. W hafcie ludowym, zwłaszcza krakowskim, widzimy dużą ilość wijących się ozdobników, trzeba więc dobierać grubość szypułek, żyłek i ozdobników do wielkości kwiatów lub liści.

Nie można bowiem wyszyć dużego, tłustego kwiatu na cieniuchnej łodyżce, lub filigranową niezapominajkę przypiąć do grubej gałązki.

Do wyszycia łodyżek i ozdobników nadają się dwa ściegi, łańcuszkowy i stebnowany, żyłki i słupki zaś wyszywa się okrętką na pojedyńczej nitce.

Jeżeli haftujemy na białym batyście, lub opalu, użyjmy do haftu bawełny Nr. 35, do nansuku Nr. 30, do płótna Nr. 25 lub nawet 20, zależnie od grubości płótna.

Na fotografji widzimy, że środki kwiatów wypełniają delikatne, przejrzyste robótki, muszą one być wyrobione cieniuchną bawełną do szydełka Nr. 200 lub choćby tylko 150.

Za zasadę musimy przyjąć, że robótki krakowskie robi się nićmi cieńszemi od nici w hafcie, bez względu na to na jakim materjale wyszywamy.

Hafty krakowskie są tak piękne, że warto dołożyć trudu, by wykończyć je starannie, motywy umieścić odpowiednio i nigdy nie przerabiać, ani stylizować wzoru skomponowanego przez wiejską hafciarkę.

Marja Stefkowa.

DOSKONAŁA MODA

Jaka? Oto suknie płócienne, płaszcze płócienne. Żakiety do wełnianych, nawet jedwabnych spódniczek, płócienne. **Len w każdym domu,** na każdej pani domu, oto hasło bieżącej chwili, które w zrozumieniu podniesienia bytu mieszkańców wsi, a więc i ogólnego, rzuca pani Iza Mandukowa, dzielna, pełna inwencji, zaprzedana cała sprawie podniesienia do tego stopnia naszych gospodarstw, aby one mniej kosztowały a lepsze dawały rezultaty i higienicznie i ekonomicznie i moralnie. Wytrwała przewodnicząca „Związku Pań Domu" zapowiada wystawę, której imię: **„Len polski".** Poleca ją kobietom, a propagandę radzi związać ze stworzeniem **mody,** która jednak, mimo wszystkie wyższe wykształcenia w nieprzepartych niczem kleszczach nas trzyma.

„Narazie — mówi pani Mandukowa — proponuję w związku z otwarciem wystawy rozpocząć niezwłocznie: 1) rozpowszechnienie wiadomości o tem, co ze lnu można i należy mieć w każdym domu, 2) propagandę w całym kraju na sezon letni mody sukien, okryć, bluzek sportowych i t. p. ze lnu, 3) rzucenie hasła: „Wszystkie panie przybędą na wystawę „Len polski" w sukniach lub płaszczach z płótna lnianego", 4) danie podstaw do pracy na przyszłość, a więc wypowiedzenie się czego żądamy od produkcji lniarskiej, jakich wyrobów brak i co dałoby się ulepszyć.

Ten ostatni punkt nadawałby się do omówień podstawowych i byłby podjęty w celu przygotowania się do następnych wystaw, które bezwzględnie muszą wykazać postęp w tej dziedzinie życia gospodarczego".

Na wystawę, niezawodnie przyjdziemy w płóciennych szatach, które mogą być i praktyczne i ładne.

M.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

W „Związku Pań Domu", znana ze swych nietylko dowcipnych relacyj „O modzie", jakie zamieszcza stale w „Kurjerze Warszawskim" p. Well, pokrywająca tym pseudonimem swe literackie nazwisko Jadwigi Kiewnarskiej, autorki nagrodzonej powieści o Janie Sobieskim i Marysieńce i świetnym literackim szkicu o „najdziwniejszym romansie" pani George-Sand, wygłosiła doskonały odczyt o dwu ostatnich nowościach beletrystycznych: Heleny Boguszewskiej „Całe życie Sabiny" oraz Poli Gojawczyńskiej „Ziemia Elżbiety".

Pani Czarnowska, przewodnicząca Stowarzyszenia Ziemianek w Warszawie, na Kongresie Unji Katolickiej w Rzymie objęła przewodnictwo komisji siódmej dla spraw wychowania warstwy rolniczej. Uwzględniając odrębność wychowania dzieci wiejskich, wynikającą z odmiennych warunków życia z dziećmi miejskiemi, uważała, że: „celem wychowania na wsi winno być rozbudzenie wśród dzieci coraz większego zainteresowania i zamiłowania do zawodu rolnego, przeciwdziałając tem emigracji ze wsi do miast i żądała lepszego przygotowania kobiet w zakresie pedagogji elementarnej. Stwierdzając przemożny wpływ środowiska fizycznego na ukształtowanie się charakteru człowieka, wyraziła życzenie, aby wrodzony rolnikowi instynkt religijny stał się w społeczeństwach katolickich przedmiotem świadomego i celowego rozwoju".

„Oddział Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej" w siedzibie Ligi zorganizował zebranie poszczególnych prezydjów oddziałów stołecznych w celu bliższego poznania się. Wspólna służba dla najważniejszej z ważnych spraw — to znaczy dla morza, wymaga jak najbardziej po koleżeńsku pojętego wspólnego działania. W pełnej sali posiedzeń, zebranie oparte na towarzyskich cechach, pełne serdecznego nastroju od pierwszej chwili, zapowiada też pomyślny rozwój — wspólnej pracy dla umiłowanych wielkich celów.

Narodowa Organizacja Kobiet walne doroczne zebranie odbyła w Resursie Obywatelskiej, przy bardzo licznym udziale członkiń miejscowych oraz przybyłych z prowincji. Po podniosłem zagajeniu przewodniczącej, p. Józefy Szebeko, referat p. t. „Kryzys charakteru i moralności" wygłosił prof. dr. Bohdan Suchodolski. „O polityce zagranicznej" mówił prof. poseł Stanisław Stroński. Wieczornica towarzyska zakończyła zebranie bardzo ożywione i interesujące ze względu na poruszane tematy.

Zgromadzenie Sióstr Józefitek we Lwowie obchodzi półwiekową rocznicę swego założenia. Powstało ono w r. 1884, dzięki inicjatywie ks. Zygmunta Gorazdowskiego. Poza opieką, jaką Zgromadzenie otacza starość, nędzę, sieroctwo — prowadzą siostry józefitki bardzo ważną placówkę humanitarną: zakład dla głuchoniemych. Wogóle mają siostry obecnie 27 domów, w których pracuje dwieście dwadzieścia sióstr zakonnych. Matka generalna sióstr mieszka we Lwowie. — Zacnej pracy dalszej niech Bóg szczęści i pomaga.

Z MINIONYCH CHWIL

Nagrodę artystyczną miasta Warszawy przyznano Oldze Boznańskiej, o której Jan Kleczyński, krytyk, pisze, że „należy do najwybitniejszych zjawisk we współczesnej sztuce europejskiej" malarstwa. Portrety Olgi Boznańskiej są arcydziełami wyrazu, wydobytego przez przedziwny splot barw przemglonych, jakby usuwających w cień wszystko, co nie duchowe, co grubo cielesne, zmysłowo-materjalne. Artystka już w r. 1894 dostała medal bronzowy w Paryżu, złoty w Wiedniu, złoty na wystawie pracy kobiet 1904 r. w Londynie, w tymże roku medal srebrny we Lwowie. Znów złoty na wystawie w Londynie. W r. 1904 portret p. Dygotówny zakupiło Muzeum, arcydzieło sztuki malarskiej, Luksemburskie w Paryżu. W r. 1908 nagrodę z fundacji Probusa Barczewskiego od Akademji Umiejętności w Krakowie. Olga Boznańska roznosi chwałę imienia polskiego po całym kulturalnym świecie.

Nagrody naukową i literacką miasta Warszawy otrzymali pp.: Ludwik Krzywicki i Szymon Askenazy.

Nagrodę muzyczną — jednomyślnie przyznano Felicjanowi Szupskiemu, co stanowi bezcenny dodatek do nagrody pieniężnej. Świadczy bowiem o wysokiem uznaniu bezspornym kolegów-muzyków, ceniących gruntownie wykształconego, wyrobionego, oddanego twórczej pracy na polu sztuki muzycznej i pedagogicznej, prawdziwego artysty. Całe miasto zna popularną postać Felicjana Szupskiego i całe miasto cieszy się piękną chwilą — jaką mu dała ta — nagroda.

CZYTAJCIE I ROZPOWSZECHNIAJCIE „RODZINĘ POLSKĄ"

SWIĘTO MORZA!

29 czerwca r. b. obchodzić będzie cały kraj uroczyście Święto Morza.

Przewidywany jest jeszcze liczniejszy aniżeli lat ubiegłych zjazd w Gdyni.

Młodzież z całego kraju zgromadzona nad Bałtykiem zaświadczy, że młode pokolenia już dostatecznie zdają sobie sprawę z ważności wrót, które nas prowadzą na szerokie wody oceanów.

Zaświadczymy wszyscy, że rozumiemy ich ważność, że pomoc nieść do rozwoju gotowi jesteśmy — w setkach tysięcy, w obronie — w miljonach.

Toteż organizacja idzie już wartkim prądem. Kajaki, statki, pociągi — już się szykują w Kielcach Liga Morska i Rzeczna organizuje specjalny pociąg na tysiąc osób dla ludności powiatu kieleckiego, który wyruszy nad morze.

Nad nasze polskie morze, którego fale obmywają brzegi gościnnie na nas czekającej Gdyni!

R.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć każdy powinien, a zainteresować się musi: **Zjazdem Polaków z zagranicy,** który odbędzie się w sierpniu. „Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy" dokłada wiele starań, aby Zjazd wydał oczekiwane rezultaty. Jesteśmy rozsypani po świecie niby piasek morza. Wszędzie pracę naszą znać, wszędzie jesteśmy lojalnymi obywatelami kraju do którego los nas zagnał, nie możemy jednak zapominać o rodzinnej ziemi i wszędzie starać się o korzyści z naszej pracy i dla niej. — Z dotychczasowych wiadomości już wiemy, że polskość nasza w większych skupieniach się zachowuje. Że mały stosunkowo procent czas — wynaradawia. Ale, ponieważ niemamy nikogo do stracenia, musimy się porozumiewać, znać wzajemnie i podsycać płomień naszych uczuć dla kraju własnego, a niedać im, Boże broń — zgasnąć. Zjazdem musimy się interesować wszyscy i wszyscy brać w nim jak najliczniejszy współudział.

Wiedzieć każdy musi, że zadrzewienie kraju — to nietylko jego piękno, ale i bogactwo. Ministerstwo opieki społecznej — wydaje odnośne rozporządzenie wojewodom — dotyczące zwłaszcza opieki nad stanem naszych lasów. Ale to nie dosyć. My, wszyscy, czuwać musimy, nad każdem **drzewkiem przydrożnem, każdym palikiem,** którego brak młodemu jego organizmowi na podpórkę. W dzieci nasze winniśmy wszczepiać poszanowanie każdej gałązki, chronić od jej łamania zbędnego, czuwać nad tem, ciągle i stale. — Na każdym odcinku budować dobytek państwa — wszyscy razem.

Wiedzieć mamy obowiązek, że „Towarzystwo Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech" — usiłuje objąć swą opieką i dzieci z Górnego Śląska. Na kolonje sprowadzonych będzie dzieci do 8.000, w połowie z Niemiec. Pierwsze transporty dzieci przybędą w połowie czerwca, i pomieszczone będą w różnych miejscowościach kraju — przy rodzinach. Największa ilość dzieci będzie w województwach: warszawskiem, lubelskiem, białostockiem i łódzkiem.

Wiedzieć trzeba i radować się tem, że liczba członków harcerstwa zwiększa się u nas z każdym rokiem. Rosną jak na drożdżach drużyny miejskie, wiejskie i robotnicze, a także harcerzy wodnych, których już jest 3.000 z taborem wodnym liczącym 863 jednostki. Zdrowe, na humanitarnych uczuciach oparte, poznające swemi marszami pieszemi gruntownie kraj, miłujące bliźniego, chrześcijańskie hufce młodzieży — są naszą prawdziwą chlubą.

DOBRY CZYN

Ratowanie Bazyliki w Wilnie to jedno z tych zadań, do których powinien zwrócić się cały naród z dobrą wolą i okazaniem ogólnego zainteresowania. — Rzemieślnicy wileńscy dali nam godny naśladowania w tym kierunku przykład. Bo — oto Związek cechów w Wilnie, na miesięcznem zebraniu delegatów, po dłuższych naradach nad sprawą polemiki prasowej, dotyczącej sposobów zdobycia środków na ratowanie Bazyliki, pomny na tradycje katolickiego i polskiego rzemiosła m. Wilna, stwierdza, że: 1) jedynym rzeczowym i najlepszym sposobem ratowania Bazyliki jest wspólny, gromadny wysiłek wszystkich warstw i stanów, całego społeczeństwa do gromadzenia funduszów w drodze składek i ofiar choćby najdalej idących; 2) obowiązkiem wszystkich rzemieślników m. Wilna, tak jak obowiązkiem całego społeczeństwa — jest najwyższa ofiarność, dlatego Związek cechów m. Wilna wzywa wszystkich swych członków do składania ofiar i ze swej strony zapoczątkowuje listę składek, na którą już zebrano 145 zł i przekazano komitetowi ratowania Bazyliki. Jednocześnie Związek cechów w Wilnie prosi wszystkie organizacje społeczne, by też zechciały sprawę ratowania Bazyliki ująć w sposób rzeczowy — gromadzenia funduszów.

Dawajmy drobne chociażby sumy, ale dawajmy je wszyscy! A wtedy z tych drobnych groszy stworzy się wielkie dzieło.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. W. M. w Międzyrzeczu. — Niech się łaskawa Pani zgłosi do „Czerwonego Krzyża", z zażądaniem wydania małego zeszyciku, który nosi tytuł: „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach". Znajdzie tam Pani cały szereg „głównych przepisów udzielania pierwszej pomocy poszkodowanym". Więc i jak zachować się wobec: zranienia, oparzenia, krwotoku, zemdlenia, porażenia słonecznego, porażenia prądem elektrycznym, co się często zdarza, zatrucia czadem i t. d., bez końca. Zwłaszcza na wsi — gdzie zawsze do doktora daleko — niezbędne są pod ręką takie informacje. Za miłe słowa dla „Rodziny Polskiej" wdzięczni jesteśmy.

„Miłośniczce natury". Podzielamy w zupełności Pani żale nad złamaną gałęzią, zdeptanym trawnikiem, uciętą koroną, drzewka i t. p. śladami barbarzyństwa, z którym spotykamy się niestety, wszyscy w naszych parkach czy na kwietnikach. Są już komisje powołane nad czuwaniem, w szerokim zakresie, aby nie były niszczone nietylko parki i skwery w miastach, ale nawet lasy podmiejskie i zagajniki. Państwowa rada ochrony przyrody, mająca swych przedstawicieli w Warszawie, Łodzi, Gdyni, zdaje się, że i w Poznaniu, Lwowie, Krakowie, czuwa już nad tem, więc będzie się budziło i zamiłowanie i obowiązek opieki w każdym obywatelu do pomocy w tak doniosłej sprawie. Dziś jednak każdy niech robi co może w poskramianiu szkodników, których napewno nie będzie wtedy, kiedy zdołamy wszystkim ludziom zapewnić naukę w szkole. Oświata — to najpewniejszy pomocnik, zwyciężania złego obyczaju.

Pani Wandzie Miar... w Olkuszu. Jeszcze na początku b. r. oo. paulini otrzymali od uczestników pielgrzymki francuskiej, która zwiedziła Częstochowę dar przeznaczony dla Królowej Korony Polskiej. Na tle votum koloru biało-czerwono-niebieskiego, wyszyte są następujące słowa w języku polskim i francuskim: pod kierownictwem ks. Dassonville przyjacielska wycieczka 80 katolików francuskich odbyła pierwszą pielgrzymkę francuską na Jasną Górę, dnia 15 sierpnia 1933 r.". Wycieczce towarzyszyła dzielna nasza pracownica społeczna p. Wanda Ładzina, wygłaszając prelekcję streszczająca wrażenie uczestników wyprawy po Polsce

Ale to wszystko było dawno — i od tego czasu, już nie jeden cudzoziemiec dowiedział się, że po Warszawie nie chodzą „białe niedźwiedzie", o czem często wspominali wskutek błędnych informacyj.

Pannie Marji W. w Sochaczewie. Żadna „linja" tak zwana, niech pani nie znęci do gwałtownego obchudzania się. Świetny w tym kierunku artykuł dał, w marcu 21 b. r. w Nr. 79, „Kurjer Warszawski", dr. J. Trzebińskiego. Radzimy pani zwrócić się do administracji o przysłanie tego numeru i odczytać go sumiennie. Nawet obchudzanie pod opieką lekarską w lecznicach, nie może być długie, choć tam obserwacja stała, zapewnia czujność nad pacjentem. Ale, wszelkie samodzielne w tym kierunku praktyki mogą być niesłychanie dla organizmu szkodliwe, bo jak pisze Dr. Trzebiński: „należy uprzytomnić sobie, że w późniejszych okresach głodu, poza ubywaniem tłuszczu, zaczyna się gromadny rozpad, drogocennego materjału budulcowego — białka i że ustrojowi grozi wtedy samozatrucie niedopałkami białkowemi".

Adres Redakcji „Kur. Warsz.", Krakowskie Przedm. 40. Artykuł koniecznie polecamy. Zdrowie jest tak ważną sprawą, że nie można niczego z nim związanego lekceważyć. A na fatalne skutki, gwałtownego obchudzania, patrzyliśmy niedawno w dość bliskiem zetknięciu, więc tym goręcej zalecamy ostrożność.

P. W. Mącz... w Ożarowie. Szkoda, że Sz. Pani nie miała sposobności, słyszeć odczytu świetnego mówcy i poważnego uczonego prof. dr. Pawła Gantkowskiego, b. dziekana wydziału lekarskiego uniwersytetu w Poznaniu. Pisząca te słowa wysłuchała kiedyś całego kursu antyalkoholicznego, organizowanego przez Instytut Higjeniczny" w Warszawie. Odczyty prof. Gantkowskiego były tak piękne, tyle pouczały, tak przekonywały, bo opierał prelegent wszelkie teorje na żywym materjale swych badań i doświadczeń, że w jego ustach istotnie alkohol, przechodził w tę klęskę socjalną, z którą walczy cały świat, a która podcina i chwieje tego świata moralność. Niech więc Pani czuwa i strzeże z całą stanowczością, odmawiając tego — co jest trucizną.

Dnia 25 kwietnia 1934 r. odbyło się w Centrali PKO w Warszawie 21-e z rzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe serji II-ej.

Po zł. 1000 — otrzymują właściciele następujących książeczek: 50008 50838 51207 53047 53300 53360 54064 54598 54827 55909 56968 57165 57511 58317 58508 58692 58693 59173 59319 59584 60158 61021 61681 62275 62470 62808 62856 62929 63073 63878 65026 65618 65770 66680 67321 67371 67794 68010 69195 70384 70645 71245 71627 71851 73054 74699 75347 75360 75453 75858 76001 76301 78702 79112 79824 79967 81817 82668 83221 83224 85368 86010 86244 87294 87621 88128 88290 88563 88717 88864 90114 90286 91313 92001 92407 92519 92537 92978 93434 93705 93964 94366 94983 96267 97378 97931 97956 98041 98585 98962 99646 100032 100231 100528 100813 101670 101876 101966 103957 104503 105195 105999 106405 107283 107549 108173 108390 108735 109187 109294 I09641 109827 110173 110821 11I377 II2367 112870 II3554 113655 II3732 114077 114386 I14787 114881 115330 1I5343 II5380 115778 116348 116447 11646I II6563 II6786 117149 117453.

KĄCIK DLA DZIECI

W ZBOŻU.

Szumiało zboże złocącemi się kłosami, świeciło słoneczko, a skowronkowy śpiew zawodził pod niebem. Tylko szum zboża słychać było i skowronkowe pienia. Wtem coś zaszeleściło wśród kłosów. Ptaszek jakiś? Nie, to malutka myszka badylarka, mniejsza o połowę od zwykłej myszy, brunatna na grzbiecie, biała pod brzuszkiem. A wiecie gdzie mieszka? pewno myślicie, że w norce ziemnej! W jesieni i w zimie wygrzebuje sobie norki ziemne, ale w lecie, gdy dzieci są jej jeszcze malutkie, wije gniazdko z traw różnych na kłosach zboża, gniazdeczko całkiem do ptasiego podobne. Wyjrzała więc myszka ostrożnie, rozejrzała się czy też gdzie myszołów nie czyha, przypomina on z wyglądu zwykłego jastrzębia, ale nie jest tak groźny jak tamten rabuś, bo jego przysmak nad przysmaki, to myszy, ale nie gardzi też owadami i pędrakami, pożyteczny to ptak i ochraniać go należy. Wyjrzała myszka, cisza wokoło, pisnęła więc porozumiewawczo i zaraz z gniazdka wytoczyła się spora gromadka maluteńkich myszek, które zgrabnie spuszczać się zaczęły po źdźbłach zboża za panią matką, a dostawszy się na ziemię, nuże dokazywać i piszczeć z wielkiej uciechy. Spłoszyły te piski mysie wielką biało-brunatną ćmę z włosami białemi pokrytą główką, to rolnica zbożówka, szkodnik wielki, przeleciała bezszelestnie i zapadła w zboże. Ojej! Ziemia się rusza — pisnęła jedna myszka. — To pewno turkuć podjadek — nowy korytarz kopie — odpowiedziała mama-myszka. — Co to turkuć, czy to kret, o którym nam mama mówiła? — zapiszczały ciekawie myszki. — Matka pokręciła łebkiem. — Nie, turkuć to jest owad, wielki, z przedniemi łapkami, podobnemi do łapek kreta, tak jak i tamten grzebie podziemne korytarze, ale ludzie uważają go za wielkiego szkodnika, bo choć zjada różne liszki i pędraki, ale obgryza też korzonki roślin, czego kret nie robi nigdy. Ale dla nas jest on obojętny, więc nie myślcie o tem! — Skąd mamusia wie tyle rzeczy? — dziwiła się mała myszka. — Widzicie — powiedziała mama, siadając wygodnie, a małe myszki obsiadły ją wokoło — miałam taką daleką ciotkę mysz domową, która mieszkała u jednego uczonego przyrodnika i jego książek próbowała, stąd takiej wielkiej wiedzy nabyła, a że w zimie polne myszy ściągają do mieszkań ludzkich, więc poznała się z nią moja kuzynka mysz polna, a ta znów wszystko mi opowiedziała. W tej chwili wielki świerszcz polny wysunął się z gąszczu traw, ale, ujrzawszy myszki, cofnął się z przestrachem, ostrożne to stworzenie i nic dziwnego, bezbronny jest zupełnie, nie tak jak jego bliski krewniak pasikonik, który, posiadając silne szczęki, nawet i człowieka boleśnie uciąć potrafi. „Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć, pitpilit, pitpilit" — ozwał się głos przepiórki. Mama myszka spojrzała bystro wokoło: — Oj! przepiórka przypomina, że czas żniw nadchodzi, skończą się nasze bezpieczne i błogie czasy, chodźcie myszki moje do gniazdeczka, bo jeszcze dużo was nauczyć muszę, byście sobie radę dały, gdy zboże pokotem leżeć będzie, i gniazdeczko nasze istnieć przestanie. Z temi słowy wdrapywać się jęła na źdźbła zboża, a małe myszki podreptały za nią, myśląc, co to takiego są te żniwa, których się tak ich matka boi?

H. Rostafińska-Choynowska.

WIANKI

Uplotę wianeczek
Z zielonej ruteczki,
Z ziół i kwiatów wonnych
Ustroję w wstążeczki,
I na wodę spuszczę...
Wianek płynie ładnie,
Razem ze strumykiem
Do Wiselki wpadnie.
Wisła fale toczy
Mój wianeczek płynie,
Pozdrowi ode mnie
Polskie morze — Gdynię!

H. R. Ch.

MARYNARZ

Hej! ja Kaszub z nad Bałtyku
Z nad morza sinego,
Po tem morzu w łódce „biegał"
Od chłopca małego.
Wieczór „polesa do kraja" —
Na tej długiej fali,
Ryby wiezę — a tam „w checzy"
Ogień już się „psali".
A gdym dorósł, w marynarce
Polskiej dzisiaj służę,
Pod banderą z białym orłem
Odbywam podróże.
My, Kaszuby, morza strzeżem
Przed niemiecką butą,
Niech się ino z nami zmierzą
A będzie im luto!
Chociaż ciężka nasza mowa —
Lecz pięść zato szparka,
Vivat nasza, polska Gdynia!
Polska marynarka!

H. R. Ch.

ILE SZCZĘŚCIA

Ile szczęścia, ile cześci
W tej się pięknej myśli mieści:
Całą duszą, sercem szczerze
Nieść siebie drugim w ofierze.
Wszystkie trudy i cierpienia
Ta myśl wdzięczna opromienia,
Że nie próżno ten się trudzi,
Kto pożytek da dla ludzi.

H. R. Ch.

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. Redaktor: Józef Czarnecki.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

DRUGI KONKURS KWARTALNY
(Zakończenie)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**, licząc od daty otrzymania numeru.

O ile kto z uczestników z jakichkolwiek przeszkód, nie mógł nadesłać rozwiązań z nrów kwietniowego i majowego, może to jeszcze uczynić obecnie, nadsyłając rozwiązania z całego kwartału bieżącego, w terminie wyż. podanym.

11. SZARADA (4 pkt.)

Wczoraj na **pierwszym-trzecim**
tak strojna i zalotna,
Dziś moja **trzecia-pierwsza**
jest cicha i samotna.
Krążą wokół głowy
cudnych wspomnień roje:
Muzyka... szał zabawy...
brylanty i stroje...
Lecz nagle **trzecia-czwarta**
przykra się zjawiła:
Swą suknią **Trzecia-druga**
przykrość tę sprawiła...
— „Ja muszę mieć piękniejszą!“ —
myśli zrozpaczona,
I jak **czwarta-druga** deszczu,
„pieniędzy!“ pragnie ona.
— — — — — — — —
Miły mój Czytelniku!
Łatwo zgadniesz **Całą**
Gdy w podróż po Bałkanach
wybierzesz się małą.

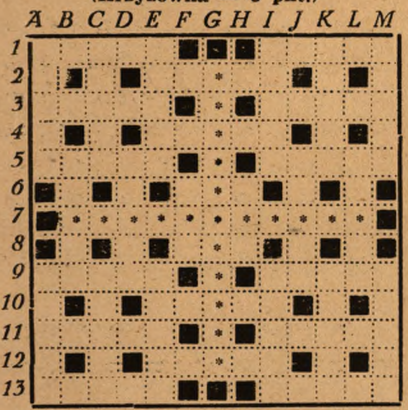
Cz. Kaczyńska czł. Kl. Sz.

12. ZAGADKA (1 pkt.)

Do półwyspu polskiego
przysuń stół sklepowy,
a wyłoni się z niego
kraj całkiem nie nowy.
Jaka jego nazwa i gdzie on się mieści,
łatwo chyba znajdziesz w tej tu oto treści.

A. Mieczkowski czł. Kl. Sz.

13. CIEPŁO SŁONKA...
(Krzyżówka — 5 pkt.)



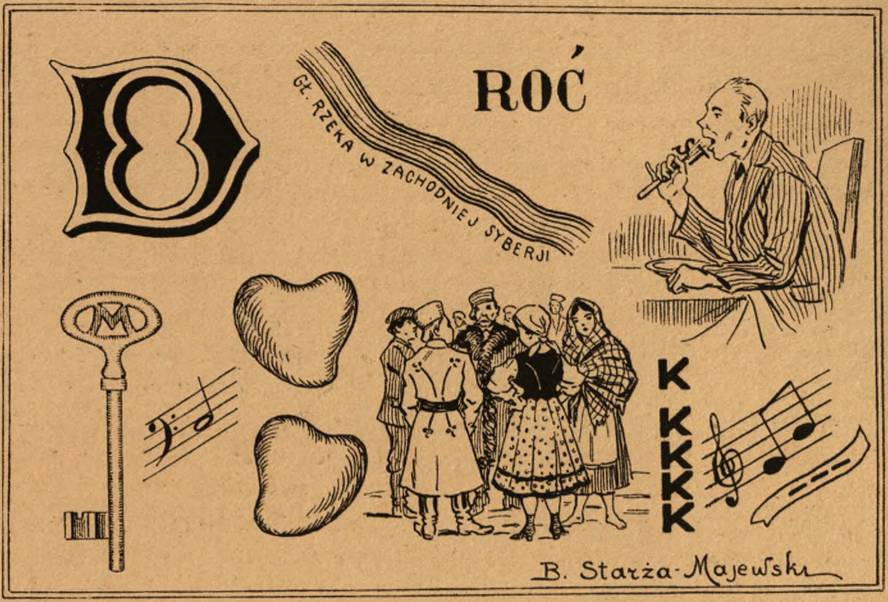
Litery w miejscu gwiazdek dadzą dokończenie powyższego nagłówka (w rzędach pionowym i poziomym jednobrzmiące), które podać można jako rozwiązanie bez wyrazów pomocniczych.

Wyr. p o z i o m e: Rz. 1: Cena urzędowa. Ptak drap. z rodz. sokołów. — Rz. 2: Stopień godności urzędowej. — Rz. 3: Płozy. Długie łyżwy. — Rz. 4: Miasto w woj. lwowskiem. — Rz. 5: Pasza. Notatnik. — Rz. 6: Przedsionek piekieł. — Rz. 7: (Rozwiązanie). — Rz. 8: Zaimek wskaz. — Rz. G: Materja jedwabna. Rodz. kaftana. — Rz. 10: Płytn tłusty. — Rz. 11: Sprzęt pokojowy. Drzewo szpilkowe. — Rz. 12: Duża taczka dwukołowa. — Rz. 13: Sznur do chwytania zwierząt. Człowiek kulawy.

Wyr. p i o n o w e: Rz. A.: Siekacz. Wojsko. Rz. B.: Krewny w linji męskiej. — Rz. C: Pokarm dla kanarków. Cienka kora drzewa. — Rz. D: Naczynie kuchenne. — Rz. E: Miejsce zapasów. Mędrzec grecki. — Rz. F: Moneta dawna. — Rz. G: (Rozwiązanie.) — Rz. H: Imię artysty filmowego. — Rz. I: Prawidło. Rodzaj łódki. — Rz. Rodzaj topoli. — Rz. K: Rodz. czapeczki. J: Łodyga ziela. — Rz. L: Rzeka w Kurlandji. — Rz. M: Rzeka piekieł. Sen magnetyczny.

M. Rossa

14. REBUS (4 pkt.)



należy odczytać treść rebusu złożoną z 6 wyrazów.

B. Starża-Majewski

ROZWIĄZANIA ZADAŃ I KONK. KWART. 1934

zamieszczonych w nrach styczniowym, lutowym i marcowym „R. P.“, na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania:)

1.	Szarada (H. Mokrzycka)	5
2.	Logogryf (Z. Ptaszyńska)	4
3.	Krzyżówka (T. Fedejko)	5
4.	Logogryf („Maciej z Pomorza“)	5
5.	Logogryf (A. Mieczkowski)	5
6.	Szarada (F. Semenowicz)	3
7.	Eliminatka (L. Jasiński)	4
8.	Rebusiki (Cz. Kaczyńska)	4
9.	Zagadki (A. Mieczkowski)	2
10.	Szarada (B. Domański)	3
11.	Wirówka („Spart“)	4
12.	Szarada (M. Wysocka)	4

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: 48.

1. SZARADA
Boża Dziecino błogosław Ojczyznę naszą.

2. LOGOGRYF
Nowy Rok bieży.
(W y r a z y: 1. Neron. 2. Orkan. 3. Welon. 4. Yukon. 5. Rubin. 6. Otton. 7. Kawon. 8. Bilon. 9. Nurmi (wsp.). 10. Ekran. 11. Żupan. 12. Narty (wsp.)
(Rozwiązanie rysunkowe u dołu.)

4. LOGOGRYF W WIERSZU
Rodzina Polska.
(W y r a z y: 1. Serca. 2. Uboga. 3. Padać. 4. Pozna. 5. Ścina. 6. Synów. 7. Stale. 8. Zapał. 9. Drogę. 10. Polny. 11. Duszy. 12. Pokój. 13. Czasy.)

5. LOGOGRYF W FIGURZE
Modlitwa i praca narody wzbogaca.
(W y r az y: 1. Mennica. 2. Oceanja. 3. Dąbrowa. 4. Laponka. 5. Izydora. 6. Turysta. 7. Witwina. 8. Arizona. 9. Izabela. 10. Parodja. 11. Rozgada. 12. Abrazja. 13. Cięciwa. 14. Ariadna.)

6. SZARADA
Narciarka.

7. Eliminatka
Wiosenne nastroje
(K l u c z: **klucz.**)

8. REBUSIKI
I. Warszawa. — II. Wezgłowie.

9. ZAGADKI
I. Sarabanda. — II. Parlament.

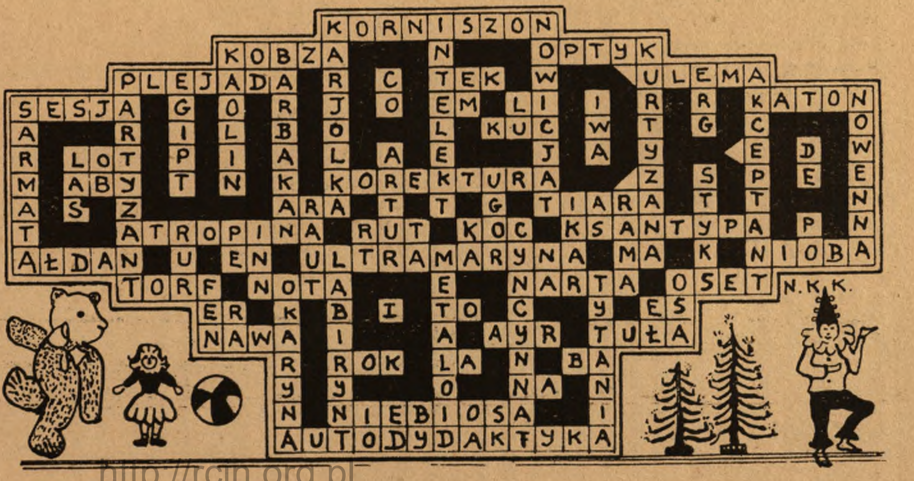
10. SZARADA
Rownina.

11. WIRÓWKA
Norwid.
(W y r a z y: 1. Angelico. 2. Eminescu. 3. Rogowski. 4. Sikorski. 5. Skrjabin. 6. Sabatier. 7. Growland. 8. Awicenna. 9. Ferriere. 10. Zabłocki. 11. Suderman. 12. Kielland.)

12. SZARADA
Szarada-wezwanie.

(Lista osób i nagrody w nrze następnym)

M. Sł.



ZE ŚWIATA RADJA

Nobel na rzecz radjowej akcji pokoju

Z Genewy dowiadujemy się, że Komitet Nagrody Nobla w parlamencie norweskim postanowił przeznaczyć pewien stały fundusz na rzecz akcji wydawniczej podjętej przez Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelektualnej. Fundusz przeznaczony będzie na akcję, którą Instytut prowadzi pod hasłem: „Radjofonja na Rzecz Pokoju". Wiadomo również, że Instytut opracował projekt międzynarodowego porozumienia wszystkich organizacyj radjofonicznych, które mają ze sobą współpracować w dziedzinie programowej w interesie pokoju powszechnego. Instytut ogłosił swój projekt w książce p. t. „Radjofonje a Pokój". Ważniejsze rozdziały książki ukazały się niedawno w tłumaczeniu w dziennikach i tygodnikach polskich.

Reorganizacja działu komunikatów radjowych

Mózgiem całej organizacji Polskiego Radja jest jego aparat programowy. Tylko dokładna znajomość wszystkich działających sprężyn i kółek pozwala słuchaczowi wobec każdej audycji zająć sprawiedliwe stanowisko. Praca nad szukaniem nowych pomysłów i środków ekspresji stanowi nieustanną troskę dyrekcji programowej i kierowników poszczególnych wydziałów. Nad rozbudową programów pracowały dotąd trzy wydziały: muzyczny, literacki i odczytowy. Do tego łańcucha przybyło obecnie nowe ogniwo, a mianowicie Wydział Komunikatów, który ma przybrać nazwę „Wydziału wiadomości radjowych" jako lepiej odpowiadającą jego programowym zadaniom.

W ramach normalnych programów audycyj 2/3 wszystkiego czasu zajmuje muzyka — a zaledwie 1/3 mówione słowo. Taki stosunek dyktuje życie i doświadczenie, a tylko drobne odchylenia od tej proporcji czasem są możliwe. W tem współzawodnictwie muzyki i słowa zawsze uprzywilejowana muzyka, a mówione słowo wychodzi pokrzywdzone. Niestety niema na to rady. Stosunek ten ostatecznie nie byłby nawet taki zły, gdyby nie to, że połowę tej 1/3, trzeba przeznaczyć na wszelkiego rodzaju komunikaty, rzeczy zazwyczaj mało pociągające, ale w ogólnej gospodarce programu radjowego dla kogoś zawsze niezbędne.

Aby więc tamtą połowę czasu o ile możności urozmaicać postanowiła Dyrekcja Polskiego Radja wyodrębnić komunikaty w osobny Wydział Wiadomości Radjowych. Zadaniem pracowników tego Wydziału będzie wprowadzać w sposobach nadawania komunikatów takie zmiany, aby i ten dział audycyj uczynić bardziej atrakcyjnym, barwnym. Do wydziału zostały wcielone wszystkie t. zw. „Skrzynki pocztowe", a więc i programowe: rolnicza, techniczna, dziecięca, muzyczna, PKO, i t. p., wszystkie t. zw. „chwilki" i „kąciki", cały sport oraz wiadomości meteorologiczne, gospodarcze, eksportowe, teatralne, policyjne, a także „Rozmaitości". Zgrupowanie tego wszystkiego pod jednem wspólnem kierownictwem da możność planowego i celowego wprowadzenia różnych zmian i reform, które pozwolą na rozwinięcie inicjatywy w tym dotąd trochę lekceważonym przez radjosłuchaczów dziale komunikatów.

Dział komunikatów obejmuje również krótkie informacje „Dokąd jechać w święto?" Postawiono również odpowiednio propagandę teatru w Polsce i udoskonalono sprawozdania sportowe. Ściślejsza współpraca teatru z Polskiem Radjem będzie rozwijana w porozumieniu z Wydziałem literackim. Raz w tygodniu w niedzielę przy udziale artystów będą nadawane fragmenty teatralne z pewnych premjer, a po dwa razy w tygodniu przegląd teatralny, oraz „życie artystyczne i kulturalne stolicy". Tym sposobem dotychczas podawany suchy i nudny repertuar teatrów ulegnie ożywieniu, a częściowo nawet może się przeobrazić w interesujące słuchowisko. Pierwszy okres próbny wykaże nowe w tej dziedzinie możliwości.